

WYWIAD

Andrzej Kohut: Trump nie widzi Rosji jako zagrożenia. Europa musi się zbroić

STR. 8



NAWIGATOR

Robert Kubica: W wyścigu Le Mans czuję magię... igrzysk

STR. 21



dzisiaj **SPORTOWY24**

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 15.12.2025
Nr 100 (2507)

Cena
6,00 zł (w tym 8% VAT)

Informacje z Kraju i ze Świata
www.i.pl

NR ISSN 1898-3081
NR INDEKSU 349-682



FOT. ADAM JANKOWSKI

Tusk: Polska zasługuje na więcej

Premier Donald Tusk podsumował dwa lata pracy swojego gabinetu. „Za nami dwa lata. Dobre, chociaż bardzo trudne. Biorę za nie pełną odpowiedzialność” – stwierdził STR. 4

POLITYKA

W PiS nerwowo. Nie wszyscy mówią jednym głosem

STR. 3

DYWERSJE

Jak dwoje rosyjskich szpiegów mieszkało w Sosnowcu

STR. 6

WYWIAD

Piotr Głowacki o byciu aktorem i filmowych rolach

STR. 14

POLICJA

Jak powstają policyjne portrety pamięciowe

STR. 18

W piątek świąteczny magazyn PULS

- Siostra Małgorzata Chmielewska o bańkach, w których żyjemy
- Maryla Rodowicz o swojej najnowszej płycie i dawnych hitach

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Marek Mazurkiewicz
publicysta, politolog



NIE WYGLĄDA TO DOBRZE

Często przytaczane jako chińskie przysłowie „Obyś żył w ciekawych czasach” w istocie jest ironicznym przekleństwem, pod pojęciem „ciekawych czasów” skrywają się pozornie życzliwe życzenia. Tak naprawdę adresata tych „życzeń” ma spotkać kara: czasy niestabilności, niepewności i braku bezpieczeństwa. Śledząc ostatnie wydarzenia polityczne, trudno znaleźć promyk nadziei na to, że będzie spokojnie. Wręcz przeciwnie - rzeczywistość staje się coraz bardziej nieprzewidywalna.

Z niepokojem możemy patrzeć na możliwe tło kolejnego już weta prezydenta Nawrockiego. Tym razem sprzeciwił się wejściu w życie ustawy regulującej rynek kryptowalut. Koalicji nie udało się odrzucić weta, ponieważ opozycja - choć na co dzień nieskłonna do współpracy - w tym głosowaniu zachowała zadziwiającą jedność. Nie znamy pełnej treści utajnionych obrad Sejmu dotyczących powiązań rynku kryptowalut z Rosją i światem przestępczym. Niepokoi jednak to, że firmy działające w tej wciąż nieuregulowanej branży zyskują coraz większe wpływy. Wchodzą do świata sportu, czego przykładem jest sponsoring Polskiego Komitetu Olimpijskiego, a ich pieniądze coraz wyraźniej przenikają do polityki. Tym bardziej dziwi weto, że prace nad ustawą - wdrażającą unijne regulacje mające ograniczyć m.in. ryzyko prania pieniędzy - rozpoczęły się już w marcu 2024 roku.

Niepokojące sygnały płyną także zza oceanu. Nowa strategia bezpieczeństwa USA zapowiada koncentrację na rywalizacji z Chinami. Unię Europejską rysuje jako projekt zagrożony w cywilizacyjnej erozji. A jak ujawnił amerykański portal Defence One, powołując się na projekt szczegółowej wersji strategii, USA mogą oczekiwać od kilku państw - w tym Polski, Węgier, Włoch i Francji - bardziej asertywnej polityki wobec Brukseli, co mogłoby w dłuższej perspektywie osłabiać Unię. Strategia ta niemal ostatecznie zrzuca z Ameryki wizerunek strażnika wolności. Jest też kolejnym dowodem na zmiany w globalnym układzie sił. W tych „ciekawych czasach” trudno o optymizm, ale to kryzysy są źródłem nowych rozwiązań. Unia jest tego najlepszym przykładem.

”

*Szopka to ważny znak.
Przypomina nam, że i my mamy
swoją udział w tym wielkim
wydarzeniu zbawienia. Jest ona
darem światła dla naszego świata,
który tak bardzo potrzebuje nadziei*

Papież Leon XIV do uczestników żywej szopki w Rzymie

TRUDNA NAZWA I BOGATE TREŚCI: KOGNITYWISTYKA

Dzisiaj chcę opowiedzieć trochę o kognitywistyce. Jest to dziedzina nauki zajmująca się umysłem człowieka, jego działaniem i możliwościami jego naśladowania w systemach technicznych, przy czym to ostatnie należy już do modnej ostatnio sztucznej inteligencji. O kognitywistyce mówi się jako o dziedzinie nauki, podczas gdy bliższe naszej codziennej praktyce takie nazwy nauk, jak matematyka, fizyka, filozofia i ekonomia oznaczają dyscypliny naukowe, czyli coś zdecydowanie mniejszego. Dziedziną jest wyodrębnioną grupą dyscyplin naukowych, która ma swoją ustawową i zwyczajową tożsamość. Taka jest kognitywistyka.

Włącza ona do swojej genezy i metodologii sześć dyscyplin naukowych: neurobiologię, bo umysł jest niewątpliwie produktem aktywności mózgu, a mózg poznajemy dzięki neurobiologii; antropologię, bo rozważane są formy intelektualnej aktywności ludzi, a wiedza o człowieku to antropologia; je-

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



zykoznaństwo, bo przejawy aktywności umysłowej najczęściej mają formę językową w sensie różnych tekstów i wypowiedzi.

Niewątpliwie fundamentem wiedzy o umyśle człowieka i jego działaniu jest też psychologia, która wiedzę o budowie i działaniu mózgu uzupełnia wiedzą o przejawach i skutkach jego działania, zwłaszcza w zakresie zmysłów i percepcji. Dla pogłębionej analizy i refleksji nad całością rozważań o działaniu umysłu człowieka służy filozofia. No i ostatnio do instrumentarium kognitywistyki dołączyła sztuczna inteligencja, bo procesy kognitywistyczne można badać, modelując je komputerowo.

Uważa się, że pierwsze myśli związane z kognitywistyką sformułował w XVII wieku Thomas Hobbes, który po-

dobno rozważał podobieństwo funkcjonowania mózgu do kalkulatora. Wiadomość ta wydaje mi się jednak wątpliwa, bo mimo poszukiwań w szczegółowych życiorysach Hobbesa nie znalazłem żadnego rozwinięcia tego tematu.

Bardziej prawdopodobne jest, że tematykę zbliżoną do dzisiejszej kognitywistyki podjął David Hume, który rzeczywiście w 1748 roku napisał artykuł „Philosophical Essays concerning Human Understanding” („Eseje filozoficzne dotyczące ludzkiego zrozumienia”).

Dalsze „kamienie milowe” na drodze do współczesnej kognitywistyki stawiali psychologowie: Wilhelm Wundt, który do rozważań na temat psychologii umysłu dołożył około 1860 roku (jako metodę badawczą) analizowanie procesów życia duchowego metodami

eksperymentalnymi, Ernst Heinrich Weber, badacz który około 1858 roku opisał prawa rządzące procesami percepcji, Gustav Teodor Fechner który w 1860 roku opisał matematycznie wykryty przez Webera związek wrażeń psychicznych z bodźcami fizycznymi, oraz Hermann von Helmholtz, którego główna publikacja zatytułowana „Liczenie i mierzenie z punktu widzenia teorii poznania” została wydana w Warszawie w 1901 roku.

W Polsce kognitywistykę głównie rozwija prof. Włodzisław Duch (z Torunia), ale ja też miałem w tym swój drobny udział, przyczyniając się do wydania w 2016 roku pod redakcją prof. Józefa Bremera książki „Przewodnik po kognitywistyce” (z jednym moim rozdziałem), przyczyniając się moimi wykładami do utworzenia kierunku studiów o nazwie „kognitywistyka” na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz wydając - jako jeden z dwójga autorów - książkę „Kategoryzacja w systemach kognitywnych”, którą wydało w 2009 roku Wydawnictwo Naukowe AGH.

Z QUIZEM MIŁO I NA DNI

Niezależnie o tego jak rozwijać się będą media, jednego możemy być pewni - zawsze będą quizy. Reportaże, newsy czy nawet horoskopy - pewny nie jestem. Quizy natomiast przetrwają zagładę atomową z prostej przyczyny - pragniemy się lubić.

Zdarzają się takie dni, że słyszę chichot świata. Wszystko wtedy daje jasno do zrozumienia, że nie jestem królem życia. Że są ode mnie ludzie pod każdym względem lepsi, mądrzejsi, piękniejsi, silniejsi.

Co wtedy, w beznadziei, robię? Czekam pół roku na pierwsze promienie wiosny? Czytam Herberta, by przynajmniej poczuć się szlachetnym? Nie! Wchodzę

Tadeusz Płatek
publicysta



do internetu, klikam w portal i odpalam „Wielki quiz geograficzny. 10/15 osiągnie tylko mistrz”. Pięć minut i co? Jestem mistrzem. Nie tylko geografii, ale też ortografii. A potem jeszcze pluję z góry na chichot losu, ponieważ rozwaliłem system z historii współczesnej. Dowiodłem, całemu światu i sobie, że wiem co to Surinam, przydawka i Kadafi. Czasem, gdy jednak czegoś nie wiem, to sobie ukradkiem sprawdzę w Wikipedii. Tak jak zrynąłem w szkole, tak teraz sobie

poszachruję - ważne, by być mistrzem. Udowodnić, że cała ta moja szkoła, szkół wiele, te wszystkie nauki, zeszyty, preparatki, kolokwia, że one miały głęboki sens.

Nawet gdy się wszystko zawali, to wciąż będę wiedział co to punkt rosy i że parowanie zachodzi w każdej temperaturze.

Edukacja w Polsce to jest jeden wielki quiz. Polega na przyswajaniu wiedzy z pozoru bezwartościowej, a jednak niezbędnej. Regały ciekawostek w naszych

czaszkach pozwalają bowiem nie tylko gromić krzyżówki i błyszczeć przed wnućkami. One dają nam wewnętrzne poczucie wartości, stanowią też ostry rapier na ludzi lepiej od nas ustawionych ekonomicznie, tych, którzy zamiast zaliczać kolokwia zjadali szczęście wprost z sadu życia.

I co z tego, że masz lepsze auto, skoro ja wiem, jakie miasto jest stolicą Australii i że nie jest to Sydney? Cóż ci po wielkiej willi w dobrej dzielnicy, jeśli w głowie nie rysuje ci się rozbiecie dzielnicowe, w ogóle nie wiesz, kto to był Krzywousty i co z jego historii może wynikać dzisiaj dla Polski.

Jeśli kiedykolwiek znajdę się na dnie, to wiem, co tam będzie. Quiz!

W Prawie i Sprawiedliwości wrze, w każdym razie prezesowi grunt pali się pod nogami. Walki frakcji doprowadziły do tego, że Jarosław Kaczyński zwołał pilne posiedzenie partii. Wcześniej, niby sprawę bagatelizował, ale nie do końca.

- Asumptem do tych wszystkich opowieści o jakichś strasznych walkach w naszej partii były drobne i zupełnie źle zinterpretowane wydarzenia podczas nieformalnego spotkania grupy działaczy, ważnych, bardzo ważnych działaczy naszej partii - odpowiedział na pytanie dziennikarzy o wojny w Prawie i Sprawiedliwości. - Dziś mamy taką sytuację, że trzeba pewne sprawy wyjaśnić, przede wszystkim ze względu na to, o czym dowiedziała się opinia publiczna i bardzo często w sposób fałszywy się dowiedziała. I temu zresztą ma być poświęcone dzisiejsze prezydium (w piątek odbyło się prezydium komitetu politycznego PiS - red.) - mówił prezes PiS.

O jaką wojnę chodzi? Media od kilku już tygodni rozpisują się o walce przynajmniej dwóch frakcji. Wszystko wzięło się stąd, że choć PiS wygrał wybory prezydenckie, w każdym razie wygrał je Karol Nawrocki popierany przez PiS, partia traci jednak w sondażach. Politycy PiS dostrzegli więc potrzebę obrania nowego politycznego kursu, tyle, że jego poszukiwania zapoczątkowały nowe spory, które są pokłosiem starych. Jeden z nich toczy się między byłym premierem Mateuszem Morawieckim i jego ludźmi, nazywanymi też „harcerczami” a grupą tzw. maślarzy. Na czele tych drugich stoją Przemysław Czarnek, Patryk Jaki, Jacek Sasin i Tobiasz Bocheński.

Określenie wzięło się stąd, że Bocheński uderzył w ekipę rządową za to, że w samolocie LOT-u z Frankfurtu do Polski podano mu masło „Deutsche Markenbutter”, a nie polskiego producenta. LOT tłumaczył potem, że linie lotnicze najczęściej zaopatrują się porcie lotniczym startu.

To ludzie z frakcji Morawieckiego mieli tak nazwać swoich kolegów z partii, sami od lat nazywani są „harcerczami”, bo wielu swego czasu działało w harcerstwie.

W każdym razie „maślarze” połączyli siły przy okazji rozmów o nowym programie, który PiS zamierza stworzyć na wybory parlamentarne w 2027 roku, w grupie, która miała nad nim pracować nie znalazł się Mateusz Morawiecki, znaleźli się za to: Mariusz Błaszczak, Jacek Sasin, Przemysław Czarnek, Tobiasz Bocheński i Patryk Jaki.

W Prawie i Sprawiedliwości doszło do prawdziwej burzy,

W PIS NERWOWO. NIE WSZYSKY MÓWIĄ JEDNYM GŁOSEM

Spotkanie kierownictwa na Nowogrodzkiej miało wyjaśnić spory w Prawie i Sprawiedliwości, bo wewnętrzna walka poszczególnych frakcji w PiS stała się sprawą publiczną. Nie pojawił się na nim Mateusz Morawiecki, jedna z stron w tej wojnie, czym wydał się być zaskoczony sam Jarosław Kaczyński

Dorota Kowalska

miał interweniować Jarosław Kaczyński, tyle, że ponoć sam miał zatwierdzić brak obecności Morawieckiego w tym gronie.

Właśnie dlatego Mateusz Morawiecki nie pojawił się na spotkaniu organizowanym przez PiS pod nazwą „Myśląc Polska Alternatywa 2.0” - przynajmniej tak donosiły media.

„Z uwagi na wykluczenie Mateusza Morawieckiego przez tzw. frakcję maślarzy (określenie używane przez niektórych w PiS) z zespołu/ów prac programowych, były premier i wiceprezes PiS rezygnuje z udziału w spotkaniu Myśląc Polska - słyszę nieoficjalnie w PiS” - napisał dziennikarz portalu wp.pl Michał Wróblewski.

Walki nabrały też bardziej publicznego charakteru. Jacek Sasin, jakby nie było były zastępca Mateusza Morawieckiego w rządzie PiS został zapytany w Radiu Zet, czy Mateusz Morawiecki nigdy nie będzie już kandydatem ugrupowania na premiera.

- Nigdy to nie można mówić w polityce, bo różnie może być, ale na pewno nie w tej perspektywie, o której teraz rozmawiamy - stwierdził polityk. - To jest nierealne, bo tak, a nie inaczej układa się dziś scena polityczna. Przesuwa się bardzo mocno na prawo, to widać. Wycał to nawet Donald Tusk, który przybrał szatki konserwatysty, chociaż żadnym konserwatystą nie jest - dodał.

Sasin stwierdził, że Morawiecki „reprezentuje w PiS bardziej centrowy nurt, wizerunek centrowy”.

- To nie jest to, czego oczekują wyborcy prawicy - ocenił. W odpowiedzi Morawiecki zamieścił uszczypliwy wpis w mediach społecznościowych.

„Czego oczekują wyborcy prawicy” - napisał dodając emotikonkę mrugnięcia i strzałkę w dół. Pod tekstem znalazło się zdjęcie Jacka Sasina.

Potem w rozmowie z TV Republika przekonywał, że wewnętrzne wojny go nie interesują. - W ogóle mnie to dzisiaj nie interesuje. Interesuje mnie



Politycy PiS dostrzegli potrzebę obrania nowego politycznego kursu, tyle, że jego poszukiwania zapoczątkowały nowe spory, które są pokłosiem starych

tylko walka, walka i codzienna walka z tematami, których ten rząd nie dowozi - tłumaczył.

I dodał, że jedyną osobą, której walki partyjnych frakcji są na rękę, jest Donald Tusk.

- Gieszę, że jest refleksja wśród głównych aktorów pewnych nieporozumień. (...) Te nieporozumienia zostały już wyjaśnione - podkreślił w programie „Gość Wydarzeń” na antenie Polsat News Przemysław Czarnek. - Nie ma sensu dzisiaj obwieszczać kogokolwiek premierem i mówić: ten będzie, ten nie będzie w rządzie. Dzisiaj nie stołki, dzisiaj wspólna praca, żeby z powrotem Polskę przywrócić na tory wielkiego rozwoju oraz bezpieczeństwa - zaznaczył polityk.

Ale to tylko słowa. Ludzie Morawieckiego zaczęli tracić cierpliwość. Stąd pomysł Kaczyńskiego, aby spotkać się na Nowogrodzkiej i przedyskutować, jak uspokoić nastroje.

Ale to, co wydarzyło się w piątek wprawiło w osłupienie nawet starych, politycznych

wyjadaczy - Morawiecki nie pojawił się na posiedzeniu kierownictwa PiS. Był za to razem z byłą premierką Beatą Szydło i europosłem PiS, byłym prezesem Orłenu Danielem Obajtkiem w Brzozowie w woj. podkarpackim. Spotykał się tam z wyborcami.

- Nie pamiętam, by ktoś tak jawnie zlekceważył słowo prezesa - mówili cytowani w mediach politycy PiS.

Jeszcze przed spotkaniem, Kaczyński tłumaczył, że Morawiecki został powiadomiony także SMS-ami o tym, że zbiera się prezydium klubu. Wyjaśnił jednak, że ma spotkanie na Podkarpaciu. - Mam nadzieję, że on jednak przyjedzie - dodał Kaczyński.

Nie przyjechał. Nieobecność Mateusza Morawieckiego na posiedzeniu władz PiS to wyraz politycznej deklaracji i sprzeciwu wobec tego, w jakim kierunku zmierza partia? - pytały prezesa dziennikarze.

- To jest pytanie do pana Morawieckiego, nie do mnie - od-

powiedział Jarosław Kaczyński. - My w tej chwili musimy w sposób zorganizowany i zdyscyplinowany realizować potężny plan różnych działań, odnoszący się do oddziaływania na opinię publiczną, rozmowy z Polakami. W ten plan jest wpisane pisanie naszego programu i powinniśmy to robić razem. Ale ja jestem przekonany, że pan premier Morawiecki jest człowiekiem racjonalnym i jest polskim patriotą - mówił.

I jeszcze raz podkreślił, że „trzeba porozmawiać”.

- Były takie wypowiedzi, które pokazywały drogę, którą my z całą pewnością nie pójdziemy. Jest dzisiaj zbyt wcześnie, żeby ogłaszać, kto będzie premierem. Przedtem trzeba jeszcze wygrać wybory i to jest najważniejsze - zauważył.

Nastroje w Prawie i Sprawiedliwości od tygodni są bardziej niż nerwowe. Notowania partii dawno nie były tak słabe. Prawicowi wyborcy coraz częściej oddają swoje głosy na Konfederację i Grzegorza Brauna. To sy-

tuacja dość nietypowa, bo dotychczas Prawo i Sprawiedliwość niepodzielnie panowało na prawej stronie sceny politycznej.

- Wiemy mniej więcej z badań jak wielu wyborców Prawa i Sprawiedliwości odpłynęło do Konfederacji i do Grzegorza Brauna. Dwadzieścia pięć procent wyborców PiS z roku 2023 roku jest dzisiaj w gronie wyborców Konfederacji i Grzegorza Brauna - mówił nam ostatnio Marcin Duma, szef Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych IBRiS. I dodał, że Karol Nawrocki, który jest dynamiczny, który jest przedstawicielem młodszego pokolenia polityków, dość boleśnie obnaża Prawo i Sprawiedliwość jako partię zużyta, mało dynamiczną, nawet anemiczną, starą.

Młodzi głosują dziś na Konfederację, problem PiS-u polega na tym, że z biologicznego punktu widzenia przyszłość należy do wyborców młodych. Ale jak widać, także ci bardziej doświadczeni wybierają inne prawicowe partie.

To nowość dla Prawa i Sprawiedliwości, bo do tej pory nic nie miało prawa zagnieździć się na prawej stronie sceny politycznej na tyle silnie, żeby Jarosław Kaczyński i PiS nie byli w stanie tego kontrolować, zasymilować albo zniszczyć.

- Tymczasem, Prawo i Sprawiedliwości wrósł nie jeden a dwóch konkurentów, bo z jednym konkurentem Jarosław Kaczyński sobie radził, poradził sobie z PJN-em, poradził sobie z Solidarną Polską, poradził sobie z Porozumieniem. Natomiast tutaj mamy sytuację, w której z prawej strony odbiera PiS-owi wyborców Grzegorz Braun, a z lewej strony, jak dziwnie by to nie brzmiało, pozbawia go wyborców Konfederacja - mówi Marcin Duma.

Nic więc dziwnego, że w Prawie i Sprawiedliwości wyczuwa się nerwowość. Politycy tej partii próbują wyjść z czymś nowym do swojego wyborcy i jasno określić, w jakim kierunku idą. Jak widać - nie wszyscy są zgodni, co do tego, jaki to ma być kierunek.

FOT. PAP/TOMASZ GZELL

PREMIER DONALD TUSK PODSUMOWUJE 2 LATA I BIERZE ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Premier Donald Tusk podkreślił na platformie X, że to były dobre, ale trudne lata. Dodał również, że Polska zasługuje na jeszcze więcej. Ministrowie piszą o sukcesach. Z kolei opozycja krytykuje wszystko w czambuł

Karolina Wrońska

Wsobotę 13 grudnia minęły dokładnie dwa lata od powołania gabinetu Donalda Tuska składającego się z czterech koalicyjnych ugrupowań: KO, PSL, Polska 2050 i Nowej Lewicy.

Premier Donald Tusk podsumował te dwa lata zwracając się do obywateli na platformie X.

„Za nami dwa lata. Dobre, chociaż bardzo trudne. Biorę za nie pełną odpowiedzialność. Jestem z nich dumny, ale wiem, że Polska zasługuje na jeszcze więcej. Wierzę, że Polaków na to stać” - napisał.

Również na platformie X opublikowano nagrania, na których ministrowie poszczególnych resortów podsumowują ten okres.

W jednym z nich rzecznik rządu Adam Szałpka podkreślił, że Koalicja 15 października „od pierwszych dni zaczęła naprawiać to, co przez 8 lat było bezwstydnie niszczone”. Wskazuje też, że rząd zadbał o bezpieczeństwo. „Rekordowe środki na obronność, nowoczesna armia, szczelne granice. Zatrzymaliśmy drożynę. Inflacja spadła poniżej 3 proc., a płace rosną najszybciej wśród państw rozwiniętych” - wyliczał Szałpka.

Ministrowie się chwala

Wicepremier, szef MSZ Radosław Sikorski zaznaczył, że rząd wspiera polskich przedsię-

wzięwców. „Na przykład otworzyliśmy wreszcie chiński rynek na polskie kurczaki”. Z kolei wicepremier, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz zauważył, że minione dwa lata to był czas decyzji, które zmieniły wojsko. „Najwyższe wydatki obronne w historii. Ponad 200 miliardów planowanych na 2026 rok. Podpisaliśmy prawie 200 umów, a to nie są tylko cyfry. To śmigłowce, drony, wozy bojowe, amunicja i nowoczesne wyposażenie żołnierzy. Na orbicie mamy pierwszego wojskowego satelitę. Wybraliśmy dostawcę nowych okrętów. To wszystko wzmacnia naszą pozycję i wiarygodność w regionie” - wymienił szef MON.

Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek zaznaczył natomiast, że resort „rozlicza afery na miliardy”. „To naprawdę mrówcza praca i wszystko musi być dobrze przygotowane, ale cały czas mamy bardzo wysokie tempo pracy. Oprócz tego, że przywracamy wiarę w to, że prawo dotyka każdego i nie ma świętych krów, reformujemy wymiar sprawiedliwości” - powiedział Żurek. Wskazał, że resort chce ułatwić kwestie rozwodowe, przyspieszyć postępowania, informatyzując pracę sądów.

Co dalej z koalicją

Minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak ocenił, że koalicja rządowa jest zwarta, na co dowodem - jego

zdaniem - jest płynna zmiana na stanowisku marszałka Sejmu. - Według niektórych komentatorów był to potencjalnie moment kryzysowy. Tymczasem przeszło to wszystko bez najmniejszych zakłóceń. Odszedł marszałek Szymon Hołownia, otoczony szacunkiem i dobrą oceną. Przyszedł marszałek Włodzimierz Czarzasty, który dynamicznie podjął swoje obowiązki. Również notowania rządu w różnych sondażach idą w górę - wskazał Siemoniak. Dodał, że na półmetku prac rządu widać mobilizację, chęć dalszej współpracy i realizacji konkretnych planów koalicjantów.

Zastępca szefa kancelarii premiera Jakub Stefaniak (PSL) ocenił, że przeprowadzona w lipcu przez Donalda Tuska rekonstrukcja rządu zakończyła wewnętrzne spory w koalicji. Doprecyzował, że ma na myśli obszar prac rządu, a nie obszar parlamentarny.

Według Stefaniaka dowodem na to, jak dużo udało się zrobić, jest przyszlóroczny budżet, uchwalony w piątek przez Sejm. - Po pierwsze, żadne świadczenia społeczne wbrew temu, co krzyczała opozycja, nie zostały zabrane. Po drugie, dodaliśmy kolejne środki na transfery socjalne w postaci „babciowego”. Po trzecie, mamy gigantyczny, największy w historii budżet na obronność, 200 mld zł - wyliczył. Dodał, że osobiście cieszy go deklaracja premiera, że rząd wróci do te-



„Jestem z nich dumny [z dwóch lat rządów - red.], ale wiem, że Polska zasługuje na jeszcze więcej. Wierzę, że Polaków na to stać” - napisał premier Donald Tusk na X

matu obniżenia składki zdrowotnej dla przedsiębiorców.

Stefaniak pytany, czego nie udało się rządowi przez ostatnie dwa lata zrobić, przyznał, że zbyt wolno idą rozliczenia poprzedniej władzy. Zauważył też, że Polacy oczekiwali podniesienia kwoty wolnej od podatku, co KO obiecywała w kampanii przed wyborami w 2023 r. - Być może uda się to zrobić w formule nieco innej niż wcześniej zapowiadano, w formule kroczącej. I nad tym musimy się na pewno skupić - podkreślił wiceszef KPRM.

Na zbyt wolne rozliczenia władzy PiS wskazał również były minister nauki, poseł Lewicy Dariusz Wieczorek. W jego ocenie nadal szwankuje też polityka informacyjna rządu. - Nie docieramy do obywateli z informacjami o tym, co robimy, i stąd obywatele mogą mieć wrażenie, że dzieje się coś złego - powiedział Wieczorek. Zwrócił ponadto uwagę na problemy związane z finansowaniem edukacji i ochrony zdrowia. - To są rzeczy, które są nierozwiązywalne w przeciągu jednego, czy nawet dwóch lat, bo one wymagają dużych zmian systemowych - zauważył.

Jako największy dotychczasowy sukces rządu Wieczorek uznał Ustawę mieszkaniową przygotowaną przez polityków Nowej Lewicy.

Wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka (Polska 2050) podkreślił, że koalicja ma się

dobrze. - Realizujemy swoje zobowiązania jako koalicjanci - zaznaczył. Dodał, że „legislacyjnie i kompetencyjnie jego ugrupowanie jest solidnym elementem rządu”. - Zarządzamy Krajowym Programem Odbudowy, całym obszarem polskiej kultury i całym obszarem klimatu i ochrony środowiska - wymienił Gramatyka.

Jednocześnie zauważył, że reprezentacja w rządzie Polski 2050 jest dużo skromniejsza, niż wynikałoby to z ustaleń koalicyjnych. - Nie została powołana Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz na stanowisko wicepremiera. Czeka w kolejce kilku wiceministrów, którzy powinni być w rządzie, a nie ma ich. W zasadzie Polska 2050 dzisiaj nie ma reprezentacji w połowie ministerstw. Nie ma nikogo w ministerstwie sprawiedliwości, ministerstwie spraw wewnętrznych, rolnictwa, sportu. Nie chodzi o stanowiska, tylko o branie odpowiedzialności za pracę rządu - powiedział wiceszef MC.

Opozycja krytykuje

To, co Donald Tusk i jego ministrowie podkreślają jako atut, torpeduje Beata Szydło z PiS.

„Od dwóch lat rząd Tuska, najgorszy rząd od dekad, niszczy Polskę. Tusk stwierdził, że bierze odpowiedzialność, za to co się dzieje, ale jest dumny. Z czego on jest dumny? Z zapasności służby zdrowia? Z rosnącego bezrobocia? Z zamykania zakładów? Z powstrzymania klu-

czowych dla Polski inwestycji?” - pyta retorycznie na platformie X Beata Szydło, jednak konkretnie nie wymienia. Była premier dodała, że ostatnie dwa lata to gigantyczne straty dla Polski i Polaków, a także niszczenie szans rozwojowych.

Poseł PiS Andrzej Śliwka uważa, że obecny rząd jest najgorszym po 1989 roku. - Przede wszystkim koalicja rządząca nie realizuje swoich obietnic wyborczych. Jest koalicją nie dotrzymanego słowa. Zresztą ostatnie wybory prezydenckie pokazały, że ekipa Donalda Tuska nie tyle dostała żółtą kartkę, bo to już jest kartka wchodząca w czerwień - powiedział.

Michał Wawer (Konfederacja) skrytykował rząd za sytuację w ochronie zdrowia. - Mamy niewypłacalność NFZ, mamy zadłużone szpitale i zapowiedzi likwidacji kolejnych oddziałów - zauważył poseł.

A co myślą Polacy?

76 proc. Polaków uważa, że konflikt pomiędzy prezydentem, który wetuje ustawy, a rządem Donalda Tuska blokuje reformy - wynika z sondażu IBRIS przeprowadzonego dla Wirtualnej Polski.

Z innego badania wynika, że Polacy są niemal równo podzieleni w ocenie skuteczności Donalda Tuska; 49,3 proc. uważa go za skutecznego premiera, a 49,1 proc. ma dokładnie odwrotne zdanie - wynika z kolei z sondażu IBRIS na zlecenie Radia ZET. PAP



Kolejny etap modernizacji linii Warszawa – Lublin. Rozpoczęły się prace na odcinku otwockim

Sprawnie, szybko i bezpiecznie – tak już wkrótce będą wyglądały podróże po jednym z kluczowych szlaków kolejowych w Polsce, między Warszawą a Lublinem. Ruszyła przebudowa ostatniego odcinka tej linii – od Warszawy Wawer do Otwocka. Realizacja inwestycji pozwoli oddzielić ruch pociągów dalekobieżnych od aglomeracyjnych w regionie. Po zakończeniu prac w 2028 roku czas przejazdu z Warszawy do Lublina skróci się dzięki temu do około 90 minut.



W ramach inwestycji powstaną dwa nowe tory, które utworzą zupełnie nowy układ kolejowy między Warszawą Wschodnią a Otwockiem. Dzięki temu możliwe będzie rozdzielanie ruchu pociągów regionalnych od dalekobieżnych, co znacząco zwiększy przepustowość linii. W efekcie na trasie pomiędzy Warszawą a Otwockiem oraz Warszawą a Lublinem kursować będzie mogło więcej składów.

Modernizacja obejmie przebudowę siedmiu przystanków: Warszawa Anin, Warszawa Międzylesie, Warszawa Radość, Warszawa Miedzeszyn, Michalin, Józefów, Otwock Świder oraz stacji kolejowej Warszawa Falenica. Wszystkie zyskają nowoczesny system informacji pasażerskiej oraz rozwiązania przyjazne osobom o ograniczonych możliwościach poruszania się. Prace prowadzone będą w porozumieniu z konserwatorem zabytków – na całym odcinku zachowany zostanie historyczny wygląd charakterystycz-

nych „skrzydlatych” wiat, które podkreślają unikalny charakter linii otwockiej.

Projekt przewiduje również poprawę bezpieczeństwa i komunikacji wzdłuż linii. Powstanie 20 nowych przejść pod torami, a istniejące przejście w Falenicy zostanie przebudowane. W ramach inwestycji zlikwidowane zostaną cztery przejazdy kolejowo-drogowe, które zastąpią bezkolizyjne skrzyżowania: tunel drogowy w Radości, tunel w Falenicy, tunel w Józefowie oraz wiadukt drogowy na granicy Warszawy i Józefowa. Takie rozwiązania nie tylko usprawnią ruch, ale przede wszystkim poprawią bezpieczeństwo wszystkich użytkowników dróg i kolei.

Na trasie zmodernizowane zostaną również mosty na rzece Świder, a obok nich powstaną dwa nowe obiekty inżynierskie pod tory linii nr 506. Dodatkowo wzdłuż torów pojawią się ekrany akustyczne obsadzone ro-

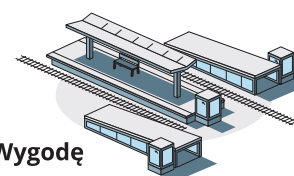
ślinnością, które ograniczą hałas i poprawią estetykę otoczenia.

Jeszcze przed rozpoczęciem głównych prac przeprowadziliśmy szereg działań przygotowawczych. W Radości i Falenicy rozebrano budynki kolidujące z planowanym układem drogowym. Między Aninem a Międzylesiem przebudowaliśmy kanalizację sanitarną, przenosząc ją poza teren kolejowy. Dzięki temu możliwa będzie budowa nowych przejść podziemnych i prowadzenie robót przy dodatkowych torach.

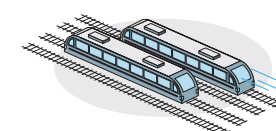
Obecnie wykonywane są przekopy kontrolne w miejscach planowanych nowych obiektów oraz wycinki drzew tam, gdzie kolidują z planowanym przebiegiem nowych torów. Trwa też przygotowanie harmonogramów i szczegółowego fazowania robót. Równolegle powstają projekty czasowej organizacji ruchu, które pozwolą wyznaczyć lokalizacje przejazdów tymczasowych. W najbliższych miesiącach wybudujemy m.in. tymczasowe perony na stacjach Warszawa Wawer i Warszawa Falenica.

Zakończenie wszystkich prac w ramach projektu planowane jest na 2028 rok. Inwestycja jest ostatnim etapem modernizacji linii kolejowej nr 7 Warszawa Wschodnia – Lublin, która w ostatnich latach została przebudowana na odcinku od Otwocka do Lublina, z dobudową drugiego toru i nowym przystankiem Lublin Zachodni. Projekt „Prace na linii kolejowej nr 7 Warszawa Wschodnia – Lublin, etap II b (Warszawa Wawer – Otwock)” ubiega się o dofinansowanie ze środków programu „Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko 2021–2027”.

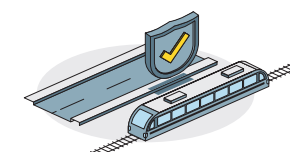
Co zyskamy?



Stacje i przystanki zyskają wyższe i bardziej komfortowe perony dostępne dla wszystkich pasażerów, nowe ławki, wiaty, czytelną informację pasażerską, a także windy i pochylnie.



Dzięki dobudowie nowych torów oddzielimy ruch aglomeracyjny od dalekobieżnego. Pociągi w aglomeracji będą kursować częściej (niżym metro), a te dalekobieżne znacznie skrócą czas przejazdu (z Warszawy do Lublina do 90 minut)



Istniejące przejazdy kolejowo-drogowe zamienimy na bezkolizyjne tunele i wiadukt. Na perony zamiast obecnych przejść przez tory prowadzić będą podziemne przejścia dla pieszych.

ROSYJSKA PARA SZPIEGÓW MIESZKAŁA W AKADEMIEKU W SOSNOWCU

Parwel Parwelik

Wwakacje, 24 lipca 2024 roku na terenie magazynu firmy kurierskiej w województwie łódzkim ujawniono uszkodzoną paczkę, której zawartość zaalarmowała pracowników sortowni. W przesyłce był m.in. pojemnik z cieczą, termos, markery oraz powerbank. Wezwano policję.

Pirotechnicy w pojemniku z cieczą rozpoznali materiał wybuchowy w postaci nitroglukolu. W markerach ukryte były dwa wojskowe zapalniki produkcji radzieckiej z okresu lat 80. do inicjacji materiałów i urządzeń wybuchowych. W termosie zamontowana została miedziana wkładka do wzmocnienia efektu wybuchu.

Zdaniem biegłego całość była tzw. bombą kumulacyjną. „Efekt wybuchu takiego urządzenia może spowodować znaczne uszkodzenia, np. w infrastrukturze krytycznej, przebijając zbiorniki wrażliwych paliw, stropy budynków lub konstrukcji stalowych” – czytamy fragment opinii biegłego.

Paczka została nadana w paczkomacie kilkanaście dni wcześniej. Nadawcą był Rosjanin Igor R.

Dostali akademik i rządowe stypendium

Igor R. i jego żona Irina R. w tym czasie od ponad dwóch lat mieszkali w Polsce. Przyjechali po napaści Rosji na Ukrainę na zaproszenie polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przedstawiali się jako opozycjoniści. W przeszłości Igor R. miał działać w sztabie Aleksieja Nawalnego w Sarańsku. Swoją żonę poznał na konferencji organizacji „Otwarta Rosja”, którą powołał krytyk Kremla Michaił Chodorkowski.

W 2021 roku Igor R. miał bez sukcesu kandydować w wyborach do rady miasta w Sarańsku.

W tym czasie miał otrzymać informację o prowadzonym przeciwko niemu postępowaniu karnym za uchylanie się od służby wojskowej. Z informacji zawartych w akcie oskarżenia wynika, że polskie MSZ było inicjatorem programu dla ok. 20 studentów Federacji Rosyjskiej. Chodzić miało o program Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej (NAWA). Igor i Irina byli uczestnikami rekomendowanymi w pierwszym roku rekrutacji.

Po przyjeździe do Polski rozpoczęli naukę na Uniwersytecie Śląskim. Zamieszkali w akademiku w Sosnowcu. Każdy z nich dostał stypendium. Z informacji „Rzeczpospolitej” wynika, że w ciągu dwóch lat otrzymali blisko 72 tys. zł od polskiego rządu.

Jak przekazał „Dziennikowi Zachodniemu” Jacek Szymik-Kozaczko, rzecznik Uniwersytetu Śląskiego, Irina i Igor R. ukończyli kurs przygotowawczy dla cudzoziemców – kandydatów na studia w języku polskim na UŚ. Następnie Igor studiował dwa kierunki – z komunikacji promocyjnej i kryzysowej zrezygnował sam po I semestrze, a z informatyki został skreślony z uwagi na niezaliczenie semestru. Irina również studiowała dwa kierunki – z zarządzania zasobami ludzkimi w organizacji zrezygnowała sama po I roku, a z filologii wschodniosłowiańskiej została skreślona z uwagi na niezaliczenie semestru.

„Rzeczpospolita” podaje, że na początku 2024 roku Igorowi i Irinie przyznano status uchodźcy. Przed wydaniem decyzji cudzoziemcy podlegali opiniowaniu przez służby (Straż Graniczną, ABW i policję) pod kątem zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa.

Igor R. został zatrzymany 29 lipca 2024 r. o godzinie 9.45.

Według prokuratury Igor R. w lipcu 2024 roku, w porozumie-



Według śledczych Igor R. współpracował przeciw Polsce z rosyjskim wywiadem

niu z dwojgiem obywateli Ukrainy oraz obywatelem Rosji, uczestniczył w nadaniu i zleceniu odbioru paczki przewozonej przez firmę kurierską, w której znajdowały się urządzenia i materiały wybuchowe.

Igor R. utrzymuje, że nie miał wiedzy na temat zawartości przesyłki. Z aktu oskarżenia Rosjanina wynika jednak, że szczegółowo opisał okoliczności, w jakich miało dojść do nadania i próby odbioru paczki.

Jak zeznał Igor R., o odebranie i przechowanie przesyłki miał poprosić przyjaciela – Emil G., również przebywający w Polsce, przedstawiający się jako opozycjonista Rosjanin. Miał on nazwać zawartość paczki „prezentami”. Emil G. po zatrzymaniu Igora R. miał wyjechać do Rosji.

Śledczy ustalili, że paczka do Polski trafiła samochodem z Ukrainy. W Polsce miała ją nadać inna osoba – Ukrainka Kristina S., która poprosiła Igora R. o wydrukowanie etykiety na przesyłkę. Z wyjaśnień mężczyzny wynika, że właśnie dlatego jego nazwisko miało znaleźć się na paczce.

Sprawa Kristiny S. była przedmiotem odrębnego postępowania. Kobieta spędziła w areszcie 10 miesięcy. Jak informuje prokuratura krajowa, 21 sierpnia 2025 roku Sąd Rejonowy w Piotrkowie Trybunalskim wydał wyrok skazujący Ukrainkę. Serwis Wirtualna Polska opisywał kobietę jako 30-letnią modelkę

z Odessy, która była nieświadoma, co przewoziła do Polski.

WP wyjaśnia, że tamtejszy sąd uznał, że kobieta, „wskazując organizatora akcji przesłania bomby, zasługuje na złagodzenie kary. Wymierzono jej grzywnę w wysokości 608 stawek dziennych po 30 zł (ponad 18 tys. zł). Po odliczeniu okresu tymczasowego aresztowania, który odpowiadał 404 stawkom, skazana musi zapłacić 6,1 tys. zł”.

Z aktu oskarżenia, z którym za zgodą sądu zapoznał się „Dziennik Zachodni”, wynika jasno, że Igor R. w trakcie przesłuchań ujawnił, że od 2020 roku współpracował z rosyjskim wywiadem – Federalną Służbą Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej (FSB). Miał pseudonim i prowadzącego, z którym miał kontaktować się za pośrednictwem telefonu, w którym zapisano tylko jeden numer. Igor R. stwierdził, że gdy jego „współpraca weszła na wyższy poziom”, zaczął otrzymywać za to pieniądze. Twierdzi przy tym, że do współpracy był zmuszany.

Igor R. szpiegował też po przyjeździe do Polski. W toku śledztwa ustalono, że od lutego do lipca 2022 roku gromadził dane dotyczące studentów pochodzenia rosyjskiego, rosyjskich działaczy opozycyjnych przebywających w Polsce oraz instytucji i organizacji świadczących pomoc rosyjskim działaczom opozycyjnym, w tym pra-

cowników polskiego MSZ, organizujących program skierowany do obywateli rosyjskich.

Zeznania Igora R. obciążły jego żonę. Mężczyzna przyznał, że zgromadzone dane zapisał na pendrive i nośnik przekazał żonie, która pod koniec lipca 2022 roku pojechała do Rosji, żeby odwiedzić rodzinę. Jej zadaniem było przekazanie tych dokumentów FSB.

Irina R. została zatrzymana 13 listopada 2024 r. o godzinie 13.08.

Z aktu oskarżenia wynika, że kobieta przyznała śledczym, że wiedziała o współpracy męża z FSB. Przekazywał np. informacje z konferencji, w których brał udział. W zamian miał otrzymać zapewnienie pomocy w sprawach urzędowych czy związanych ze studiami. Twierdzi, że sama z wywiadem nie współpracowała.

W Polsce Irina R. utrzymywała się ze stypendium, pracowała też jako stylistka paznokci.

Wirtualna Polska podaje, że Irina R. dowiedziała się podczas kursu języka polskiego, że jej mąż zdradza ją z inną Rosjanką. W odwecie, w prywatnych rozmowach z innymi rosyjskimi emigrantami, zaczęła ujawniać, że Igor współpracuje z oficerem FSB.

Na sprawę pendrive oskarżeni Igor i Irina przedstawili dwie odmienne wersje, opisane w akcie oskarżenia.

Irina R. utrzymuje, że kiedy postanowiła pojechać do Rosji odwiedzić rodzinę (od 22 lipca do 23 sierpnia 2022 roku), mąż przekazał jej pendrive, który miała na miejscu przesłać paczkomatem do wskazanego przez niego odbiorcy. Kiedy przesyłka nie dotarła do adresata, miała zostać poinstruowana przez męża, aby skontaktowała się z oficerem FSB – miał do tego służyć telefon pozostawiony w ich mieszkaniu z jednym zapisanym numerem. Nikt nie odebrał, więc odebrała paczkę, ale nie pamięta, gdzie ją zostawiła.

Igor R. zeznał śledczym z kolei, że chcąc zabezpieczyć żonę, „gdyby wzięli ją za zakładnika”, wręczył jej nośnik z informacjami, które w jego opinii były „bezpieczne”, a równocześnie byłyby deklaracją dalszej współpracy z FSB. Według niego kobieta ostatecznie pendrive zgubiła.

Prokuratura, stawiając kobiecie zarzuty, uznała za wiarygodną jej wersję. Z aktu oskarżenia wynika, że Irina R. w okresie lipca i sierpnia 2022 roku w Sosnowcu oraz na terytorium Rosji, działając na rzecz obcego wywiadu przeciwko Polsce, udzieliła pomocy mężowi w popełnieniu przestępstwa, mając świadomość brania udziału w działalności rosyjskiego wywiadu, przyjęła zapisane na pendrive zaszyfrowane dane celem przekazania ich FSB w Rosji, a następnie podjęła działania zmierzające do przekazania tych informacji i próby nawiązania kontaktu z rosyjskimi agentami.

20 stycznia w Sądzie Okręgowym w Sosnowcu rozpoczęło się proces pary. Wtedy też zostanie odczytany akt oskarżenia. Kolejne rozprawy zaplanowane zostały na 11 lutego i 17 marca. Sąd zdecydował o wyłączeniu jawności procesu, powołując się na kwestie obronności państwa.

Śledztwo przeciwko Igorowi R. i Irinie R., prowadził śląski wydział Prokuratury Krajowej oraz katowicka delegatura Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Rosyjskie małżeństwo od ubiegłego roku przebywa w areszcie. Za popełnione przestępstwa oskarżonym grozi od 3 do 15 lat pozbawienia wolności.

**WSPÓŁPRACA Z ROSYJSKIMI
WYWIADEM NA SZKODĘ POLSKI
I NADANIE PACZKI Z IMPROWIZOWANĄ
BOMBĄ TO ZARZUTY,
KTÓRE CIAŻĄ NA MAŁŻEŃSTWIE**

EKSPERT: TRUMP WOLI POLSKĘ OD EUROPY ZACHODNIEJ

- Niemcy dla Trumpa to epicentrum „starej Europy”, której on bardzo nie lubi. Z perspektywy Białego Domu Berlin to symbol europejskiej hipokryzji - mówi Michael O’Hanlon, ekspert prestiżowego amerykańskiego ośrodka analitycznego Brookings

Agaton Kozłowski

„W interesie Stanów Zjednoczonych leży wynegocjowanie szybkiego zakończenia działań wojennych na Ukrainie (...) oraz przywrócenie strategicznej stabilności w stosunkach z Rosją, a także umożliwienie odbudowy Ukrainy po zakończeniu działań wojennych, aby umożliwić jej przetrwanie jako państwu zdolnemu do funkcjonowania” - czytamy w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego (NSS). Co jest najważniejsze w tym akapicie: „odbudowa Ukrainy”, „stabilność w stosunkach z Rosją” czy „interes Stanów Zjednoczonych”? Właściwie podoba mi się to zdanie, choć niektórzy uważają, że jest zbyt przyjazne wobec Rosji. Ale proszę pamiętać o kontekście. Wszyscy próbowaliśmy ukarać Niemcy po I wojnie światowej za to, że doprowadziły do jej wybuchu - szybko się przekonaliśmy o tym, jakie konsekwencje takie karanie przynosi. Nie uważam dążenia do stabilnych stosunków z Rosją za słabość jako taką. Przyczyny obecnego kryzysu są inne.

Jak Pan definiuje jego źródło?
On wziął się stąd, że Rosja poczuła się znieważona w związku z ekspansją Zachodu na wschód. To, w połączeniu z ambicjami i paranoją Putina oraz jego dyktatorskimi tendencjami, doprowadziło do obecnego kryzysu.

Oczywiście nie jest to nasza wina, ale nasza polityka w stosunku do Rosji też nie była optymalna. W tym kontekście dążenia do stabilnych stosunków nie uważam za porażkę.

Jak rozumieć obecną grę Donalda Trumpa? Jakie są według Pana jego główne interesy?
Też mam problem z tym, żeby precyzyjnie opisać jego ogólną strategię. Ale od ostatniego szczytu NATO w Hadze oddycham z ulgą, bo wygląda na to, że - przynajmniej na razie - Trump jest cały czas zaangażowany w sprawy Europy, podobnie zresztą jak w sprawy Azji wschodniej oraz Bliskiego Wschodu. Owszem, można w NSS dostrzec retoryczną zmianę w kierunku położenia większego nacisku na bezpieczeństwo półkuli zachodniej. Ale nie zapowiada to żadnego poważnego osłabienia lub naruszenia zobowiązań Ameryki wobec sojuszników w Azji, Europie i na Bliskim Wschodzie.

NSS podkreśla znaczenie silnych sojuszy dla Stanów

Zjednoczonych. Dlaczego autorzy tej strategii tak wiele razy ponizali Europę w tym dokumencie?

Nie podoba mi się zawarta w tym dokumencie krytyka Europy za to, że utraciła swój tradycyjny charakter i kulturę. Ten sposób opisywania Europy, jaki pojawił się w tej strategii, pasuje do logiki wojen kulturowych. W Stanach Zjednoczonych mnóstwo osób - czego bardzo żałuję - chętnie się wpisuje w ten typ rywalizacji.

Ale te „wojny kulturowe” to tylko słowa, czy mają one konsekwencje polityczne? Jak ważne są one w optyce Trumpa?

Mogą mieć konsekwencje, ale chodzi o to, aby zachować spokój. Często sprawy same się poprawiają, jeśli ludzie po prostu pozwolą, aby ten moment minął.

Jaka powinna być reakcja Europy?

Żadna. Na miejscu polityków europejskich w ogóle próbowałbym zmienić temat. Biały Dom próbuje ich spychać do narożnika, ale nie można

**NIE PODOBA MI SIĘ ZAWARTA
W NOWE STRATEGII USA
KRYTYKA EUROPY ZA TO,
ŻE UTRACIŁA SWÓJ TRADYCYJNY
CHARAKTER I KULTURĘ**



O’Hanlon: Nie spodziewam się większych zmian w strategii wojskowej USA. Nie będzie też specjalnych przesunięć w rozmieszczeniu amerykańskich wojsk na świecie

zapomnieć, że USA i Europa razem to największa i najważniejsza grupa sojuszników w historii. Wspólnie dysponujemy supermocą, jakiej nikt nigdy nie posiadał.

W NSS widać silne rozróżnienie między Europą Środkową i Zachodnią. Czy jest to rodzaj strategii „dziel i rządź”, czy też Biały Dom naprawdę postrzega te dwie części kontynentu w różny sposób?

Generalnie strategia kładzie nacisk na większy podział obciążeń wojskowych między sojusznikami. Nie zauważyłem specjalnej różnicy, choć zgaduję, że Donald Trump nadal woli Polskę od krajów Europy zachodniej.

Co jest takiego wyjątkowego w Polsce w oczach Trumpa? Prezydent USA pochwalił nasz kraj w niedawnym wywiadzie dla Politico.

Nie rozumiem tego do końca. Na pewno Polska to duże i ważne państwo, a Trump lubi niektórych polityków z waszego kraju - przede wszystkim sposób, w jaki jest przez nich honorowany.

Jeszcze większe i jeszcze ważniejsze są Niemcy - a w NSS bardzo mocno je zaatakowane.
Niemcy dla Trumpa to epicentrum „starej Europy”, której on bardzo nie lubi. Szczególnie mówiąc, dla mnie to trochę dziwne. Faktem jednak jest, że dziś z perspektywy

Białego Domu Berlin to symbol europejskiej hipokryzji.

Jak daleko Trump posunie się we wdrażaniu tej strategii?

Prawdę mówiąc nie spodziewam się większych zmian w strategii wojskowej. Nie będzie też specjalnych przesunięć w rozmieszczeniu amerykańskich wojsk na świecie ani w ich liczbie.

Naprawdę? USA już podjęły decyzję o wycofaniu żołnierzy z Rumunii.

I to wszystko. Proszę zauważyć, że w strategii nie ma chociażby jakichkolwiek roszczeń terytorialnych wobec Grenlandii lub Kanady. To moim zdaniem wyraźny sygnał. Jeśli będą jakieś zmiany, to jedynie kosmetyczne, właśnie tego typu jak teraz z Rumunią. Choć oczywiście mogą się mylić. Zobaczmy.



**Świąteczne zakupy
w Centrum Mody Nadarzyn
DOBRY WYBÓR**

Czynne w każdą
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy



Aleja Katowicka 51,
Nadarzyn
tel. 22 739 55 00

ANDRZEJ KOHUT: TRUMP NIE WIDZI ROSJI JAKO ZAGROŻENIA. EUROPA MUSI SIĘ ZBROIĆ

– Skoro kraj, który miał pokonać Ukrainę w pięć dni, prowadzi tę wojnę czwarty rok, to w ocenie Waszyngtonu nie jest on gotów do wielkiej wojny z NATO. W takim myśleniu kluczem jest jak najszybsze zakończenie wojny i stopniowe przerzucenie odpowiedzialności za bezpieczeństwo na Europejczyków – mówi Andrzej Kohut, amerykańista z OSW

Anita Czupryn

Co dokładnie ogłosił Donald Trump w ubiegły czwartek? Czym jest ten dokument i o co w nim chodzi?

Dokument, który został opublikowany w ubiegły czwartek późnym wieczorem czasu amerykańskiego, to Strategia Bezpieczeństwa Narodowego. Jest on cyklicznie publikowany przez kolejne amerykańskie administracje, wymagany ustawowo. Każda z administracji stara się w nim przedstawić swoje podejście do kwestii bezpieczeństwa kraju. Najczęściej taki dokument sprowadza się do wskazania zagrożeń, które, zdaniem autorów, czyhają na Stany Zjednoczone, oraz sposobów, w jaki USA zamierzają sobie z tymi zagrożeniami radzić. Te strategie oczywiście ewoluowały, bo kolejne administracje różnie te zagrożenia definiowały. Przez wiele lat XXI wieku podstawowym zagrożeniem był terrorizm. W 2017 roku strategia Donalda Trumpa umieściła w centrum zagrożenie ze strony największych państw rewizjonistycznych, czyli Chin i Rosji. To podejście zostało później podtrzymane przez administrację Bidena. W tym sensie ta strategia zmieniła się wraz z tym, jak kolejne ekipy postrzegały zagrożenia. Zmieniały się też środki, za pomocą których chciały na nie odpowiadać. I właśnie taki dokument w nowej odsłonie opublikowała teraz administracja Donalda Trumpa.

Co jest w nim nowego? Nowa doktryna Stanów Zjednoczonych czy polityczny manifest dla wyborców Trumpa?

To nie jest polityczny manifest. To w pewnym sensie emanacja tego, w jaki sposób otoczenie

Donalda Trumpa myśli o świecie, o polityce zagranicznej i o miejscu Stanów Zjednoczonych. Rzeczywiście, jest to dokument przełomowy na tle poprzedzających go strategii bezpieczeństwa narodowego, ponieważ autorzy stwierdzają de facto, że Stany Zjednoczone popełniły błąd po zakończeniu „zimnej wojny”. Tym błędem miało być przyjęcie modelu dużego zaangażowania USA w świecie, w różnych jego regionach: zaangażowania w demokrację, w „zmienianie” państw, w globalizację. Krótko mówiąc, ich zdaniem to wszystko Stanom Zjednoczonym się nie opłaciło i konieczna jest korekta kursu. Ta strategia właśnie taką korektę kursu proponuje. Zakłada koncepcję, w której Stany Zjednoczone nie dążą już do dominacji w świecie, pozwalają rozwijać się innym potęgom w różnych regionach, a jednocześnie starają się zachować korzystny dla siebie układ sił. Dbają o regionalną i globalną równowagę sił, tak aby nie wyrósł rywal zdolny podważyć ich kluczowe interesy. Jest to więc bardziej ograniczona wizja amerykańskiego zaangażowania, koncentrująca się przede wszystkim na własnym terytorium, a także na bezpośrednim otoczeniu – czyli na zachodniej hemisferze – a w mniejszym stopniu na reszcie świata. Ta reszta świata została zresztą ułożona według nowej hierarchii: najważniejszy, poza zachodnią półkulą, jest Indo-Pacyfik, gdzie Chiny są oczywiście największym, rosnącym wyzwaniem dla USA. Dalej jest Europa, następnie Bliski Wschód i Afryka. W ten sposób autorzy tej strategii postrzegają główne

wyzwania dla amerykańskiej polityki w nadchodzących latach.

Dlaczego w tym dokumencie jest tak wiele krytyki Unii Europejskiej? I czy po ogłoszeniu tej strategii Europa może się czuć bezpiecznie pod amerykańskim parasolem? Trump i jego ludzie sugerują, że Europa ma sobie radzić sama. Co to w praktyce oznacza?

Jeżeli patrzemy na zapisy dotyczące Europy, to trzeba odnotować dwie rzeczy. Pierwsza dotyczy kwestii kulturowo-cywilizacyjnych i migracji. Tam widać wpływ nowej prawicy, zwłaszcza głównego autora tej strategii, Michaela Antona, dla którego właśnie kwestie ideowe odgrywają dużą rolę. Mamy tam między innymi tezę, że Stany Zjednoczone powinny wspierać siły polityczne o profilu zbliżonym do obecnej administracji w różnych krajach europejskich, po to, by w ich przekonaniu odwracać negatywne trendy. Druga część dotyczy bezpieczeństwa. I tutaj otrzymujemy potwierdzenie czegoś, co i tak obserwowaliśmy w ostatnich miesiącach: sygnałów, że amerykańskie wsparcie dla państw europejskich, amerykańska obecność wojskowa w Europie najprawdopodobniej będzie stopniowo ograniczana. Europejczycy muszą się z tym liczyć. To będzie proces, to nie wydarzy się z dnia na dzień. Punkt wyjścia autorów strategii jest taki, że dziś Europa nie jest już kluczowym teatrem działań dla Stanów Zjednoczonych. Tym kluczowym obszarem jest zachodnia hemisfera oraz Indo-Pacyfik, a nie Europa. W związku z tym amerykańskie zaangażo-

wanie tutaj należy ograniczyć, przekazując ciężar zapewnienia bezpieczeństwa regionalnego na państwa europejskie, na europejskich sojuszników USA. I to, w założeniu, ma się wydarzyć w najbliższych latach. Jednocześnie Amerykanie wystosowują pod adresem Europy pewną ofertę współpracy. Waszyngton ma pomagać Europejczykom między innymi przez sprzedaż uzbrojenia, ma pomóc im stanąć na własnych nogach, i to jest w tej strategii powiedziane niemal wprost, tak aby w przyszłości Europa w większym stopniu samodzielnie mogła zapewniać stabilność na kontynencie, odstraszając Rosję.

Zatem wracam do pytania: czy po tej strategii Europa może się czuć bezpiecznie?

Europa przede wszystkim musi się liczyć z tym, że trzeba przyspieszyć proces odzyskiwania własnej pozycji w świecie. Nie można zakładać, że obecna polityka Stanów Zjednoczonych w jakiś magiczny sposób się odmieni, ponieważ ludzie, którzy otaczają Donalda Trumpa i którzy współtworzyli tę strategię, pozostaną w najwyższych kręgach Partii Republikańskiej także w przyszłości. Ta strategia więc nie zniknie. Po części wynika to również z ograniczonych możliwości Stanów Zjednoczonych w kontekście nowych wyzwań, zwłaszcza chińskiego. Amerykanie tak czy inaczej będą chcieli przekierować swoją uwagę gdzie indziej. Być może nawet Joe Biden kontynuowałby ten trend, gdyby nie pełnoskalowa wojna w Ukrainie, która przyciągnęła go z powrotem do Europy. Europa musi się z tym liczyć. Musi się

Polska
Poniedziałek, 15.12.2025

przede wszystkim zbroić i zastanawiać, w jaki sposób tę większą samodzielność osiągnąć. Jednocześnie nie mamy tu do czynienia z jakimś gwałtownym przełomem. Te obawy, wątpliwości i pytania stawiamy sobie od początku pierwszej administracji Trumpa, teraz drugiej, i jak dotąd odpowiedź jest taka, że te procesy rzeczywiście zachodzą, ale są stopniowe. To jest pewien proces, który Amerykanie realizują w koordynacji z państwami europejskimi. To nie jest tak, że ta strategia oznacza ogłoszenie przez Stany Zjednoczone wyjścia z Europy od jutra. To nie jest tego rodzaju komunikat.

W amerykańskiej debacie publicznej pojawiają się daty, kiedy Europejczycy mają przejąć główny ciężar obrony NATO w Europie. Mówi się o roku 2027, pada też rok 2030. To będzie moment, w którym Stany Zjednoczone ograniczą swoje zaangażowanie? Mamy to traktować jako ultimatum dla sojuszników?

W strategii, o której rozmawiamy, te daty się nie pojawiają: one krążą w debacie publicznej. To są terminy, które anonimowy urzędnik przekazał anonimowemu reporterowi. Nie ma żadnego oficjalnego harmonogramu, wedle którego Stany Zjednoczone miałyby wycofać takie czy inne zdolności z Europy do konkretnego roku czy konkretnego miesiąca. Wiemy, że to będzie się działo, natomiast będzie to proces, a przynajmniej tak sugeruje ta strategia, i to prowadzony we współpracy. Nie będzie tak, że Amerykanie nagle znikną, tylko będą starali się dopasować tempo wycofywania się do tempa, w jakim Europejczycy są w stanie przejmować odpowiedzialność. Oczywiście pod warunkiem, że zobaczą po stronie europejskiej realne działania, wypełnianie zobowiązań i wysiłek na rzecz zwiększenia własnych zdolności obronnych.

Po opublikowaniu strategii pojawiły się głosy, że w istocie jest to zaproszenie do dogadania się z Rosją ponad głowami Europy i Ukrainy. Jak Pan to widzi? Gdzie w tej układance jest Ukraina i czy ma jeszcze szansę wygrać wojnę?

Przede wszystkim myślę, że w Polsce panuje wokół tej strategii duże poruszenie, trochę przekraczające jej realne znaczenie. To jest dokument, który zbiera dotychczasową politykę administracji Trumpa, umieszcza ją w jednym tekście i daje nam pełny obraz tego, dokąd Stany Zjednoczone zmierzają oraz jak rozumieć decyzje podejmowane w ostatnich miesiącach. Ale to nie jest tak, że ten dokument nagle wywraca nasze myślenie o polityce zagranicznej administracji

Trumpa. To nie jest też dokument, który narzuca Trumpowi jakieś nowe reguły gry: to raczej wyraz tego, jak jego środowisko, jego otoczenie, rozumie politykę zagraniczną. Sam Donald Trump w swoich decyzjach potrafi być bardzo suwerenny i nie ma na świecie siły, która zmusiłaby go do stosowania się do zapisów tej strategii, jeśli nie będzie miał na to ochoty. Natomiast, przechodząc do pytania o Ukrainę, tu również nie ma fundamentalnej zmiany. Trump, prowadząc proces pokojowy w taki sposób, w jaki robią to on i jego ludzie w ostatnich miesiącach, pokazuje, że najważniejszy jest dla niego jak najszybszy koniec konfliktu zbrojnego.

W tym prowadzeniu jest jednak bardzo dużo chaosu. Ludzie nie bardzo rozumieją, o co chodzi w tych wszystkich wypowiedziach dotyczących pokoju według Trumpa i tego, jak miałby on wyglądać. Momentami to się wydaje wręcz kuriozalne.

To osobne zagadnienie, w jaki sposób te negocjacje pokojowe przebiegają. Natomiast kończą się myśl o priorytetach administracji i o tym, o co tu tak naprawdę chodzi, to chodzi o jak najszybsze zakończenie wojny. Właśnie dlatego, że Stany Zjednoczone, i to widać w tej strategii, chciałyby skupić się na innych regionach świata, przede wszystkim na własnym bezpośrednim bezpieczeństwie, unikając konieczności dużego zaangażowania w Europie. Chodzi o zyskanie czasu na przekazanie odpowiedzialności za bezpieczeństwo europejskie sojusznikom z Europy. Do tego potrzebna jest, jak ujmuję to strategia, stabilizacja w relacjach z Rosją. Wynika to z faktu, że administracja Trumpa nie postrzega Rosji jako zasadniczego zagrożenia nawet dla Europy, a tym bardziej dla Stanów Zjednoczonych. Uważa, że sam fakt, iż kraj, który miał w pięć dni pokonać Ukrainę, prowadzi tę wojnę już czwarty rok, dowodzi, że Rosja nie jest gotowa do wielkiej wojny przeciwko NATO. Oczywiście Rosja jest zdolna do siania zamętu i wywoływania niepokojów w Europie. Dlatego z tego punktu widzenia potrzebne jest zakończenie zbrojnej fazy konfliktu, próba znalezienia rozwiązania pokojowego i stabilizacja relacji Rosja - Europa i Rosja - USA, tak aby wojna nie powróciła w przyszłości. Takie myślenie stoi za tą strategią. Inną sprawą jest, czy to w ogóle jest wykonalne i czy ta perspektywa się ziści. To temat na osobną dyskusję. Opisuję jedynie, z czego biorą się takie a nie inne założenia administracji Trumpa. Jeśli przyjmiemy, że takie jest jej myślenie i jeśli, co widzimy w tej strategii, administracja akceptuje wzrost regionalnych potęg w różnych częściach świata, nie



FOT. PAPIERA

Kohut: Ten dokument to emanacja tego, w jaki sposób otoczenie Donalda Trumpa myśli o świecie, o polityce zagranicznej i o miejscu Stanów Zjednoczonych

jest szczególnie zaniepokojona Rosją, uznaje jej prawo do jakiejś strefy wpływów, to w ich logice trzeba się z tą Rosją jakoś dogadać. Trzeba znaleźć jakiś wspólny grunt: rozwiązanie, które będzie możliwe do zaakceptowania przez Rosję, a jednocześnie plan pokojowy, który da się przedstawić albo wymusić po stronie ukraińskiej. Tu administracja Trumpa ma więcej narzędzi, by przynajmniej próbować działać pod presją. Czy Ukraińcy się na to zgodzą - to znów temat na osobną rozmowę.

Wyszło jednak na to, że ten proces pokojowy miał być przygotowywany pod dyktando Rosji, według rosyjskiego scenariusza.

Myszę, że to też nie do końca tak. Rosja jest dziś w sytuacji, w której nie ma szczególnej ochoty na negocjacje; jest przekonana, że na polu bitwy może osiągnąć korzyści, na których jej zależy. W związku z tym trochę gra na czas z Trumpem: podsuwa różne potencjalne rozwiązania, na które Ukraina bardzo prawdopodobnie się nie zgodzi, po to, by przerzucić odpowiedzialność za ewentualne fiasko rozmów na stronę ukraińską. Chodzi o to, by przeka-

nać dobrą wolę negocjacyjnej i chęci powrotu do stabilnych relacji, wspólnego biznesu i tak dalej. Pojawiają się więc warunki przedstawiane przez stronę rosyjską, przekazywane Trumpowi przez Steve'a Witkoffa, który ma, jak się wydaje, jedno z bardziej pozytywnych spojrzeń na Rosję w całym obozie Trumpa. W związku z tym przyjmuje on różne rosyjskie propozycje za dobrą monetę i przedstawia je Trumpowi. Potem następuje kolejny etap: próba ułożenia tego wszystkiego ze stroną ukraińską. I gdzieś po drodze to się zazwyczaj rozprasza, tak jak i tym razem. Był 28-punktowy plan, który miał zostać przyjęty jeszcze przed końcem listopada. Rozmawiamy w drugim tygodniu grudnia, a finału całego projektu nie widać. Wszystko się po drodze rozmyło.

Tymczasem mamy ogłoszoną strategię. Czy można uczciwie i wprost powiedzieć, że jest ona dla naszej części Europy, a także dla Ukrainy, po prostu niebezpieczna?

To jest strategia, która stawia przed Europą ogromne wyzwanie. De facto unieważnia wszystko to, do czego byliśmy przyzwyczajeni przez ostatnie mniej więcej trzy dekady,

i każe nam na nowo wymyślić nasze podejście do bezpieczeństwa. Zastanowić się, jak ułożyć się z rzeczywistością, w której obecność amerykańska będzie po prostu mniejsza. Oczywiście ta strategia może nam się nie podobać, może budzić obawy. Ale z drugiej strony ona tylko dokumentuje to, co już obserwowaliśmy w ostatnich miesiącach i z czym de facto zaczęliśmy się mierzyć. Czy z naszej perspektywy to zjawiska pozytywne? Oczywiście wolelibyśmy, żeby wszystko pozostało bez większych zmian, żebyśmy nadal mogli funkcjonować pod amerykańskim parasolem bezpieczeństwa, który był dla nas po prostu najkorzystniejszy.

W tym dokumencie jest dużo zdań o migracji, o obronie kultury, o homogeniczności kultury. Po co? Co to ma wspólnego z bezpieczeństwem, z czołgami i raketami?

Strategie bezpieczeństwa, także te wcześniejsze, włącznie ze strategią Bidena z 2022 roku, nigdy nie były tak wąskie, żeby dotyczyły wyłącznie bezpieczeństwa militarnego. Bezpieczeństwo już od dawna rozumiane jest znacznie szerzej. Obejmuje kwestie bezpieczeństwa granic, także w kon-

tekście migracji, przestępczości zorganizowanej, ale też sprawy związane z bazą przemysłową Stanów Zjednoczonych. To wszystko pojawiało się już wcześniej i w strategii Bidena, i w strategii Trumpa z 2017 roku. Tam również były obecne wątki bezpieczeństwa gospodarczego, chociażby w kontekście nierównowagi w handlu. Innymi słowy: fakt, że w jednym dokumencie mieszczą się tak różne obszary - od gospodarki, przez migracje, po kulturę - nie jest niczym nowym. Co ciekawe, autorzy obecnej strategii sugerują wręcz, że ten katalog wyzwań i problemów zawężili. Uznali, że ich poprzednicy poszli jeszcze dalej i zbyt szeroko definiowali to, co podpada pod bezpieczeństwo narodowe. Sama strategia jest zresztą stosunkowo krótka; inne potrafiły być dużo bardziej rozbudowane.

Kreml rzadko chwali amerykańskie dokumenty strategiczne, tym razem jednak Rosjanie mówią, że ta wizja świata im się zgadza. Co dokładnie Rosji się w tej strategii podoba?

Rosji podoba się przede wszystkim to, że jest to strategia, którą sami autorzy określają jako realistyczną i pragmatyczną. To znaczy: nie zakłada już, że Stany Zjednoczone są państwem, które ma wspierać procesy demokratyzacyjne, rozwój wolnego rynku w różnych częściach globu i przenosić amerykański model do kolejnych regionów świata. To jest dokładnie ten element, którego Rosja bardzo się obawiała, zwłaszcza na obszarze poradzieckim. Tymczasem w myśli nowej strategii Donalda Trumpa Stany Zjednoczone uznają, że na świecie istnieją inne mocarstwa, że te mocarstwa mają pewne prawa do własnych stref wpływów, i że jest to w pewnym sensie naturalne. A USA muszą się z tą sytuacją jakoś ułożyć, nie ingerując tak mocno w sprawy wewnętrzne innych. Ten realistyczny model myślenia o strefach wpływu i równowadze sił jest Rosji bardzo bliski. Rosjanom łatwiej się poruszać w świecie, w którym mocarstwa dzielą się wpływami, niż w świecie, w którym Stany Zjednoczone chcą utrwać liberalny ład na całym globie, bo właśnie ten liberalny ład był z rosyjską wizją świata całkowicie sprzeczny.

To dlaczego teraz mówi się o nowej Jałcie?

Rozmowy o nowej Jałcie sugerują, że dojdzie do twardego podziału świata dokonanego przez mocarstwa. To nie jest aż tak proste. Wydaje się raczej, że Amerykanie szukają sposobu ułożenia się z innymi siłami, przede wszystkim z Chinami, w taki sposób, by nie skończyło się to konfliktem

zbrojnym. Ta strategia zawiera koncepcję dalszej współpracy gospodarczej z Chinami, którą autorzy uznają za możliwą, o ile zostaną rozwiązane kluczowe problemy w relacjach amerykańsko-chińskich. Jednocześnie pojawia się tam wyraźna sugestia, że Stany Zjednoczone powinny dbać o równowagę sił, regionalną, jak i globalną, tak by w żadnym regionie nie pojawił się rywal zdolny zdominować otoczenie albo podjąć próbę zdominowania całego globu, bo to byłoby sprzeczne z interesami USA. Innymi słowy, układ, który Stany Zjednoczone próbują sobie wyobrazić w relacjach z innymi mocarstwami, nie jest układem równych, którzy siadają przy stole i dzielą świat na strefy. To raczej układ, w którym USA odpuszczają rosnącym potęgą część pola manewru, nie starają się powstrzymać każdego ich ruchu. Ale jednocześnie wyznaczają granicę, której przekroczyć nie pozwolą.

Pana zdaniem ta retoryka ostrzegająca przed cywilizacyjnym zatarciem Europy, które ma powodować migracja czy multikulti, wzmacnia ruchy nacjonalistyczne i antyunijne? Na ile to jest świadome podlewanie prawicowego ognia?

Nie ulega wątpliwości, że administracja, formułując zapisy tej strategii, w taki właśnie sposób, liczy na to, że po pierwsze retorycznie, a być może w przyszłości także działaniem wzmocni siły polityczne, które według niej sprzyjają korzystnemu dla Europy scenariuszowi. I nie trzeba długo się zastanawiać, by dojść do wniosku, że chodzi o siły zbliżone ideowo do obecnej administracji Trumpa. Na ile to okaże się skuteczne? Dużo będzie zależało od tego, jak społeczeństwa i wyborcy poszczególnych krajów będą postrzegać tego rodzaju ingerencje: jako coś pozytywnego, czy wręcz przeciwnie - jako wtrącanie się obcego państwa w ich politykę wewnętrzną. Trudno to dziś jednoznacznie ocenić. Kraje europejskie są bardzo różne, a stosunek do Stanów Zjednoczonych też jest rozmaity, więc zapewne w każdym przypadku będzie to wyglądało nieco inaczej.

Analicyści ostrzegają, że w najbliższych miesiącach możemy zostać zalani propagandą Kremla w mediach społecznościowych, dodatkowo wzmacnianą przez algorytmy wielkich platform. Jak zwykły użytkownik internetu ma sobie radzić z dezinformacją i fake newsami? Jak odróżnić realną debatę od zorganizowanej kampanii wpływu i jakie to ma znaczenie?

Odróżnienie tych treści jest coraz trudniejsze. W dobie

sztucznej inteligencji wiele przekazów jest wzmacnianych materiałami wizualnymi, które mają sugerować ich prawdziwość. Często wcale nie jest łatwo zidentyfikować, co jest rzeczywistością, a co rzeczywistością wykreowaną przy użyciu AI. Tu niestety nie ma złotego środka ani prostego rozwiązania. Pozostaje czujność, korzystanie ze zweryfikowanych źródeł i pewna docieklivość. Na przykład na platformie X pojawiła się ostatnio możliwość sprawdzenia pochodzenia danego konta z kraju, z którego pochodzi użytkownik. To potrafi wiele powiedzieć: jeśli mamy wrażenie, że użytkownik powinien pochodzić z innego kraju niż wskazany, to już jest czerwona lampka ostrzegawcza, że coś z daną treścią może być nie tak. Żyjemy w momencie, w którym weryfikowanie informacji napływających do nas ze wszystkich stron jest trudniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Kremlowska propaganda już próbuje tę sytuację rozgrywać. Jakich haseł możemy się spodziewać w mediach społecznościowych? „Tylko Trump nas uratuje”? „Unia Europejska nas zdradziła”? Czy, w odniesieniu do Ukrainy: „Najważniejszy jest pokój za wszelką cenę”?

Trudno mi spekulować, nie jestem specjalistą od rosyjskiej propagandy. Ale zakładam, że mogą być wspierane treści, które będą sugerowały przede wszystkim polskie problemy na przykład z ukraińską mniejszością albo eksponowały słabości Unii Europejskiej. To jest w ogóle problem z rosyjską propagandą: ona często nie tworzy zupełnie nowych narracji, tylko wiernie posługuje się tymi, które już istnieją: realnymi sporami i podziałami społecznymi. Stara się jedynie dolać oliwy do ognia, wzmacniając te linie konfliktu, które z jej perspektywy są najkorzystniejsze.

CV



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Andrzej Kohut
Amerykanista. Autor książki „Ameryka. Dom podzielony”. Analityk w Zespole Bezpieczeństwa i Obronności Ośrodka Studiów Wschodnich, a także specjalista w Zespole Mediów.

Za przekroczenie prędkości karą może teraz być więzienie. W życie wejdą nowe przepisy... Uspokajam - nie każdy kierowca, któremu przydarzy się przekroczenie prędkości, trafi do więzienia. Sankcja ta może być zastosowana w przypadku rażącego naruszenia przepisów, które naraża życie lub zdrowie innych uczestników ruchu drogowego. Nowe przepisy precyzują, że może to dotyczyć m.in. jazdy powyżej 180 km/h na drodze ekspresowej lub 210 km/h na autostradzie. Grozi za to kara - od 3 miesięcy do 5 lat pozbawienia wolności.

Z prędkością na polskich drogach mamy problem. Badania, choćby Instytutu Transportu Samochodowego wskazują za główną przyczynę wypadków Polsce właśnie nadmierną prędkość.

Polityka represji za wykroczenia w ruchu drogowym, te najbardziej zagrażające bezpieczeństwu albo uciążliwe dla uczestników, musi postępować. Z prostej przyczyny - każdy z nas przyzwyczaja się do kar obowiązujących, nawet jeżeli one są wysokie. A chodzi o to, by rygor niósł ze sobą stały efekt odstraszenia. Tu oczywiście w grę powinna wchodzić też skuteczność egzekwowania kar. I to też musi postępować. Kara więzienia - drastyczna, powinna eliminować pewien procent zachowań niebezpiecznych, które wynikały ze swego rodzaju „odporności mentalnej” na obecne sankcje. Chodzi np. o pewną grupę osób bardzo majątnych, z łatwością uzyskujących środki finansowe, np. ze swojej działalności w internecie. Część z tych osób kupuje bardzo drogie auta, o dużej mocy, przy czym ich umiejętności prowadzenia są znikome. Mandat karny, np. o wysokości 10 tys. zł, nie jest dla nich czymś strasznym, nawet jeśli trzeba takich mandatów zapłacić kilka. Dlatego wprowadzenie sankcji więzienia jest moim zdaniem słuszne.

Wielu kierowców z nowymi przepisami się nie zgadza. Powtarzają argument brzmiający jak żart: „jeżdżę szybko ale bezpiecznie”. Część dodaje, że „ograniczenia prędkości są w wielu miejscach idiotyczne”.

Ja, pan, większość kierowców nie dyskutuje z tym, czy dany znak drogowy ustawiony jest prawidłowo, czy w danym miejscu powinno być ograniczenie prędkości. Nogę z gazu ściga tam, gdzie jest przepisami wymagane. Podam też przykład. Wielu z nas wie, że drogi w Skandynawii należą do jednych z najbezpieczniejszych na świecie. Ale związane jest to z bardzo surowymi, dotkliwymi sankcjami. Kiedy służyłem w policji odbywałem w jednym z państw tego re-

JAK KARAĆ PIRATÓW DROGOWYCH? PODAJĄMY W SŁUSZNYM KIERUNKU

O nowych karach m.in. za przekroczenie prędkości rozmawiamy z Januszem Staniszewskim, byłym policjantem drogówki, analitykiem i ekspertem bezpieczeństwa ruchu drogowego

Tomasz Chudzyński



Tego kierowcę ukarano mandatem za przekroczenie dozwolonej prędkości w terenie zabudowanym o 85 km

gionu wizytę studyjną. Braliśmy udział w patrolu na autostradzie. Praktycznie żaden z kierujących nie przekraczał prędkości, nawet o 10 km/h. Jednym z niewielu kierowców zatrzymanych w czasie tego patrolu był mężczyzna, który jechał za szybko o 30 km/h. Tłumaczył się śmiercią ojca, pogrzebem. Nic to nie dało. Zatrzymano mu prawo jazdy, i to dożywotnio. Usłyszał, że ma szczęście, bo gdyby przekroczył prędkość jeszcze o 5 km, to tego samego dnia trafiłby do aresztu. Przepisy w Polsce zmierzają do tego, by kary mandatu były powiązane z dochodem osoby łamiącej przepisy, podkreślę to, uporczywie, wielokrotnie, a także z konfiskatą bardzo drogiego samochodu i aresztem. Tak jak ma to miejsce w Skandynawii.

W czasie dyskusji w Sejmie nad zaostrzeniem polskich przepisów mówiono nie tylko o prędkościach na autostradach czy trasach ekspresowych, ale o przekraczaniu „pięćdziesiątki” w terenie zabudowanym. Bardzo groźne dla pieszych.

To prawda. Do tego dodałbym np. wymijanie wysepki lewą stroną i jeszcze kilka innych kar godnych zachowań. Do prze-

kroczenia prędkości dochodzi też na etapach remontowanych dróg, gdzie mamy do czynienia właściwie z placami budowy, z pracownikami, ciężkim sprzętem. Natomiast w tych konkretnych przypadkach, terenów zabudowanych czy prac drogowych, zarządzanie prędkością może odbywać się za pomocą rozwiązań infrastrukturalnych, inżynierskich. To np. zmiana toru jazdy, zwiększenie, oświetlenie ostrzegawcze...

...Przejścia dla pieszych na tzw. garbach. Tyle, że w to trzeba zainwestować.

Ale to nie są wielkie koszty, umówmy się. Zwiększenie drogi, światła naprawdę nie kosztują wiele, a doskonale zarządzają prędkością. Kierowcy sami zwalniają, ruch zostaje uspokojony. No i chodzi o bezpieczeństwo. Kultura jazdy zdecydowanie poprawiła się w Pol-

sce w ostatnich dwóch dekadach, zapewne na skutek wielu kampanii informacyjnych, działań profilaktycznych, ale i eskalujących sankcji. Natomiast wciąż trzeba eliminować tych, którzy na drodze sprawiają zagrożenie.

Kim są ludzie, którzy uporczywie łamią przepisy? To ci, którzy zachłysłni się bogactwem i kupują super samochody z silnikami o mocy 600 KM?

Często są to ludzie młodzi. Natomiast żeby nie generalizować przytoczę nieco inną klasyfikację. Politechnika Gdańska badała zachowania kierowców. Wynika z nich, że w większości osób, które łamały przepisy na drodze, wystarczy ostrzeżenie, by je w przyszłości wyeliminować. Jest jednak grupa kierujących, która zmian w przepisach ruchu drogowego, ograniczeń, chociażby prędkości po prostu nie akcep-

tuje. Ci ludzie odrzucają również sankcje. Dlatego one muszą być zaostrzone, by w krytycznych sytuacjach mogły skutecznie zadziałać.

Nowe przepisy mają także dać narzędzia do zwalczania nielegalnych wyścigów na drogach...

To jest bardzo ważne. Do tej pory policjanci musieli mocno się napracować, by takie zdarzenia eliminować. Po prostu nie było przepisów, dedykowanych konkretnie takiemu procederowi. Uczestnicy takich rajdów tłumaczyli chociażby, że równocześnie rozpoczęli jazdę ze światła... Mieliśmy tymczasem do czynienia ewidentnie z nielegalnymi wyścigami po publicznych drogach, gdzie ktoś to organizował, wstrzymywał ruch, uczestników tego szaleństwa wypuszczał. Mieliśmy w dodatku zakłady, kto wygra. Obserwowałem na ul. Grunwaldzkiej przy Galerii Bałtyckiej, na Jana Pawła II, Wojska Polskiego, na Trasie Sucharskiego czy Obwodnicy Trójmiejskiej. Jest wreszcie narzędzie by to zjawisko okiełznać. Ustawodawca wprowadził także do nowych rozwiązań pojęcie tzw. driftu oraz jazdy motocyklem na jednym kole. Zdarzało się, że kan-

dydaci na kursach prawa jazdy pytali się czy mogą jechać na jednym kole, bo przecież nie ma na to sankcji, a można pokazać umiejętności, gdy droga jest pusta i nie ma żadnego zagrożenia. Takie myślenie jest szokujące, a zachowania tego typu powinny być piętnowane.

Skoro nowe sankcje, większe rygory i ograniczenia przyczyniają się do mniejszej liczby zdarzeń na drogach, to są słuszne. Konfiskaty samochodów za rażące łamanie prawa, odbieranie prawa jazdy.

Nie jestem zwolennikiem dożywotniego zakazu kierowania pojazdem. Uważam, że taką osobę należy poddać resocjalizacji i dać kolejną szansę, np. po okresie 10 lat kary, oczywiście po ponownym egzaminie. Zauważmy, jeśli odbierzemy prawo jazdy ludziom dwudziesto, trzydziestoletnim, to karzemy ich właściwie na całe życie. Nawet skazani odbywający karę w więzieniu mają możliwość starać się o zwolnienie przedterminowe z odbywania kary. To jest moim zdaniem poważny dylemat. Podobnie jest w kwestii konfiskaty pojazdu. Musimy poważnie rozważyć, czy odbierając samochód, z którego korzystała cała rodzina, chcemy karać nie tylko osobę, która przepisy złamała, ale też jego bliskich.

Ostrzejsze przepisy spowodowały, że ograniczone bardzo mocno zostało w Polsce zjawisko obecne przez wiele lat na drogach popędzania świątami i jazdą na zderzaku...

Podajemy w kierunku, który wydaje się słuszny - to są dobre działania. Ustawodawca dobrze reaguje, nie tylko w kwestii ruchu samochodowego, ale też choćby wprowadzając obojętne kasków dla użytkowników rowerów dla osób do 16 roku życia czy ograniczając prędkość dla hulajnog elektrycznych. Uważam, jak już mówiłem, że rosnący poziom sankcji powinien być adekwatny do dochodu danego sprawcy. Co ciekawe, pojawiają się często pytania o to, dlaczego wprowadzamy ostrzejsze rozwiązania tak późno. Uważam, że gdybyśmy 20 lat temu wprowadzili rozwiązania w zakresie bezpieczeństwa ruchu drogowego na wzór skandynawski, system po prostu by się zapchał. Zwyczajnie byłoby zbyt dużo ukaranych i to bardzo surowo. Postępujemy krok po kroku. Zaczęliśmy karać duże przekroczenia prędkości dopuszczalnej, powyżej trzydziestu kilometrów na godzinę, a za chwilę dojdziemy do sankcjonowania przekroczeń powyżej 5 kilometrów na godzinę. Wypracowaliśmy generalnie oczekiwane zachowania na drogach, i podajemy dalej, żeby ograniczać te, które stwarzają zagrożenie. Biernie na pewno nie możemy być.

NIE JESTEM ZWOLENNIKIEM DOŻYWOTNIEGO ZAKAZU KIEROWANIA POJAZDEM. UWAŻAM, ŻE TAKĄ OSOBĘ NALEŻY PODDAĆ RESOCJALIZACJI I DAĆ KOLEJNĄ SZANSĘ

Proces Tomasza N. z Brzozia pod Brodnicą rozpoczął się 9 grudnia. Oskarżonemu o usiłowanie zabójstwa szwagierki mężczyźnie grozi nawet dożywocie. W miniony wtorek odczytano mu akt oskarżenia. Powiedział tylko, że nie przyznaje się do winy i odmawia składania wyjaśnień. Milczy podobnie jak na etapie śledztwa.

Tu od razu zaznaczmy: Anna, jego ofiara, atak przeżyła. Choć on rzekomo myślał inaczej... W tle sprawy jest rodzinny biznes i spór o pieniądze. Cały przebieg marcowych wypadków jest absolutnie zaskakujący.

- No, ja sobie nie przypominam, żeby u nas kiedykolwiek wcześniej coś podobnego się wydarzyło... Od marca emocje w ludziach opadły, ale teraz pewnie odżyją. Generalnie, rozumie pani, jak w grę wchodzi sprawa rodzinne i pieniądze, to ja się nie wtrącam. Jaka jest jednak prawda o tym wszystkim? - Grzegorz Maćkowiak, sołtys Brzozia, zawieszona głowa.

- Jest sąd, to niech teraz rozsądzi - podsumowuje ostatecznie gospodarz wsi. I daje do zrozumienia, że to, co dla prokuratury jest jasne i zdecydowanymi słowami opisane w akcie oskarżenia, dla ludzi w Brzoziu nie do końca takim jest. A przynajmniej - nie dla wszystkich.

Siostry, szwagrowie i tartak w Brzoziu

Brzozie to malowniczo położona wieś na Pojezierzu Brodnickim, wśród lasów, pagórków i jezior. To wieś gminna, spora i porządna. A do tego z piękną historią i ciekawą współczesnością.

„Tam, gdzie rosną brzozy” - po prostu. Tak pochodzenie nazwy wsi tłumaczą miejscowi. Pierwsze wzmianki o miejscowości pochodzą z 1310 roku, choć odnoszą się jeszcze do pierwotnej nazwy „Brzoze”. Od 1510 roku mowa jest już o Brzoziu. Co ciekawe, w czasach zaborów wieś nazywała się Brzozie Polskie - w odróżnieniu od wsi sąsiedniej, o tej samej nazwie, położonej już w granicach zaboru pruskiego.

Brzozie współczesne to ciekawi i przedsiębiorczy ludzie, aktywne koło gospodyń wiejskich, społecznicy. Sama gmina natomiast od wielu lat przyciąga turystów krajowych i zagranicznych. Ot, choćby do SPA w Wielkim Głębocku czy znanej agroturystyki ze stadniną w Małym Leżnie. W Rankingu Samorządów Rzeczypospolitej natomiast gminne władze docenione były za innowację i rozwój.

W takiej to sympatycznej i nieznanzonej dotąd krwawymi historiami kryminalnymi okolicy doszło w marcu 2025 roku do dramatycznych wydarzeń. Ich główni bohaterowie to Tomasz N. i jego ofiara - szwagierka Anna.

Tym natomiast ma być spór o pieniądze. Przed 20 laty bowiem żyjące tu dwie siostry i ich mężowie - Anna z Przemysła-



Czy Tomasz N. faktycznie chciał zabić, czy tylko nastraszyć i coś wymusić? Dlaczego zamknął „zwłoki” w drewnitni, a nie ukrył ciała gdzieś dalej czy też nie zakopał?

BYŁ PEWIEN, ŻE ZABIŁ SZWAGIERKĘ? ANNA ŻYJE, A JEMU GROZI DOŻYWCIE

Przed Sądem Okręgowym w Toruniu zaczął się proces Tomasza N., oskarżonego o usiłowanie zabójstwa szwagierki w podbrodnickim Brzoziu. Ten rodzinny dramat to gotowy scenariusz na film. Są w nim wielkie pieniądze i emocje, przemoc i ucieczka

Małgorzata Oberlan

wem oraz Justyna z Tomaszem - założyli tartak. Interes bardzo dobrze prosperował, ale jakieś dwa lata przed czasem krytycznym miał zacząć się konflikt.

Według słów Przemysława, do którego dotarli reporterzy „Faktu”, Tomasz miał naciskać na szybsze wprowadzenie innowacji w biznesie, a szwagier go studiował. Uważał, że trzeba na spokojnie się przekonać, czy firma na to stać. Spór eskalował, aż Tomasz z żoną odłączyli się od rodziny i założyli konkurencyjny tartak.

Potem - ale to relacja jednego tylko ze szwagrow przeciw - Tomasz miał oczerniać dotychczasowych wspólników, nastawiać przeciwko nim ludzi. A wreszcie - domagać się uparcie spłacenia go. „Prosił się go, żeby dał nam czas, bo chcieliśmy ustalić najpierw, w jakiej kondycji jest firma. Nie chciał dać nam tego czasu” - powiedział pan Przemysław dziennikarzom „Faktu”.

Z takim stawianiem sprawy zdecydowanie nie zgadza się pan Michał, brat oskarżonego Tomasza N. Kontaktuje się z naszą redakcją zaraz po rozpoczęciu procesu w sądzie: - Mój brat to dobry człowiek, zawsze każdemu pomagający. Nie usprawiedliwiamy z rodziną przemoc, do jakiej doszło 12 marca, ale Tomasz był przez szwagierkę Annę doprowadzony na skraj psychicznej wytrzymałości. Jeśli chodzi natomiast o pieniądze, to on niczego się nie domagał. Przeciwnie! Są dokumenty na to, że wręcz chciał przekazać kilka milionów złotych, aby się za tartak rozliczyć - mówi pan Michał. I podkreśla, że wiele osób w Brzoziu do dziś z szacunkiem mówi o jego bracie, bo sobie na niego przez lata zasłużył.

Marzec. Najpierw zaginiony, a potem oskarżony o próbę zabójstwa

W marcu br. o Tomaszu N. niespodziewanie usłyszała cała Polska. I cały kraj, rzecz można, go poszukiwał. W środę, 12 marca, bardzo wcześnie rano mężczyzna wyszedł z domu, wszedł do swojego oliwkowego mercedesa i wyjechał do pracy. Nigdy jednak do niej nie dotarł.

Zaniepokojona rodzina zawiadomiła policję. Brodniccy funkcjonariusze opublikowali zdjęcie 52-latk i zaapelowali o pomoc w jego poszukiwaniach. W poniedziałek, 17 marca, około godziny 20.30 Tomasz N. został odnaleziony w Warszawie. Wcześniej jego rodzina dostała ze stolicy informację, że charakterystyczne auto stoi zaparkowane obok jednego z cmentarzy.

Co dalej? Niespodziewany obrót akcji. Zamiast happy endu i radości z odnalezienia Tomasza - wielki szok. Według ustaleń policji, brodnickiej prokuratury, a także - to najważniejsze - relacji samej Anny i jej bliskich - tamtego śródogo poranka

mężczyzna napadł szwagierkę w jej własnym domu, dusił i w przekonaniu, że niesie już zwłoki, przeniósł jej ciało do drewnitni. Przekonany, że zabił kobietę, uciekł do Warszawy.

Ustalenia prokuratury i wstrząsająca relacja męża ofiary

Tomasz N. został szybko zatrzymany, usłyszał zarzuty usiłowania zabójstwa Anny W. oraz trafił do aresztu. Potem, po zakończonym śledztwie, zarzut powtórzono w akcie oskarżenia.

- Doprowadził pokrzywdzoną do utraty przytomności. Będąc przeświadczonym, że kobieta nie żyje, przeniósł ją do budynku gospodarczego, zniszczył też jej telefon komórkowy - przekazywała mediom Alina Szram, prokurator rejonowa w Brodnicach. - Zamierzonego celu nie osiągnął, bowiem pokrzywdzona w efekcie odzyskała świadomość, wy dostała się i wzywała pomoc. Tomasz N. nie przyznał się do po-

pełnienia zarzucanego mu czynu i odmówił złożenia wyjaśnień.

Więcej szczegółów tego dramatu ujawnił mąż pokrzywdzonej - we wspomnianej rozmowie z reporterem „Faktu”. Według jego słów, Tomasz N. 12 marca musiał ich dom obserwować. O godzinie 5.20 do pracy wyszedł Przemysław. Jego żona pół godziny później. Napastnik dopadł ją, gdy była przed budynkiem.

Wtedy miał Annę ściągnąć ze schodów, przewrócić na ziemię, usiąść na niej i zacząć ją dusić. Ona krzyczała, błagała, on nie reagował. Wreszcie, w przekonaniu, że zabił kobietę, zaciągnął jej ciało do drewnitni. Tam zabrał jej telefon, przełamał na pół i uciekł. Wcześniej - uwaga! - według słów męża pokrzywdzonej w prasowej relacji, miał drewnitnię zamknąć.

A ona? Tu zaczyna się kolejny akt dramatu. Uwolnienie się Anny miało pełen dramatyzm przebieg, bo faktycznie było z nią bardzo źle. Gdy odzyskała przytomność, zaczęła szukać ratunku. Chciała, używając siekiery, wyłamać drzwi, ale nie dała rady. Udała jej się wybić okno. Wzywała pomocy, ale nikt jej nie słyszał. Wreszcie podciągnęła kosiarkę pod okno i wyszła. W jej własnym domu teściowa jej stukania nie usłyszała, a córka bała się otworzyć drzwi. Dopiero sąsiadka, do której na ostatnich nogach Anna dotarła, wezwała pomoc. Przyjechał mąż, potem pogotowie i policja.

Czy chciał zabić? Czy był pewien, że udusił? Proces ma to wyjaśnić

Według oskarżającej prokuratury, Tomasz N. działał celowo i chciał zabić. A przeniósł jej ciało „będąc przeświadczonym, że kobieta nie żyje”.

Czy faktycznie chciał zabić, czy tylko nastraszyć i coś wymusić? Dlaczego zamknął „zwłoki” w drewnitni, a nie ukrył ciała gdzieś dalej czy też nie zakopał? Działał na zimno, według planu, czy w absolutnym amoku? Miał w Warszawie przygotowane miejsce ukrycia czy może wyładował tam trochę w ciemno?

To tylko część pytań i wątpliwości, które wyjaśnić powinien proces przed Sądem Okręgowym w Toruniu. Tomasza N. osądził ma skład pięcioosobowy: dwóch zawodowych sędziów i trzech ławników. Jego obrońcą jest bardzo doświadczona adwokat Iwona Sepiolo-Jankowska, profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Po pierwszej rozprawie, 9 grudnia, ze strony Tomasza N. nie padło nic nowego - odmawia składania wyjaśnień i przedstawiania swojej wersji wydarzeń. - Terminu kolejnej rozprawy na razie nie wyznaczono - przekazuje nam Jarosław Szymczak, asystent rzecznika sądu. ©

Przez lata lepiej było milczeć o tym, co działo się za murami Monte. Dziś w korytarzach, w których kiedyś dominował strach, funkcjonariusze próbują budować poczucie sprawczości, odpowiedzialności i drugiej szansy. Bo choć historia tego miejsca jest trudna, współczesność pokazuje, że nawet w areszcie można szukać zmiany, która wykracza poza kraty

Tekst Jolanta Tęcza-Ćwierz, Zdjęcia Andrzej Banas

MONTELUPICH. W MIEJSCU Z TRAGICZNĄ HISTORIĄ SZUKAJĄ DZIŚ DRUGIEJ SZANSY

Na północno-wschodnich obrzeżach Krakowa wyrósł masywny, ceglany gmach. Z pozoru zwykły budynek, w rzeczywistości wybrzmiewało w nim echo komend, raportów i żołnierskich butów. Montelupich.

Twierdza, która czekała na swój mroczny czas

Historia Monte zaczęła się w czasach, gdy Kraków włączony był jeszcze w ciasny gorset austriackiej twierdzy. W latach 80. i 90. XIX w. wznoszono tu koszary zaborczej armii austro-węgierskiej, a obok nich areszt wojskowy i cesarsko-królewskie sądy. Kompleks tętnił życiem monarchii, dyscypliny i chłodem surowych korytarzy.

W 1918 roku przejęło go tworzone Wojsko Polskie, a rok później, na mocy rozkazu ministra spraw wojskowych, zorganizowano w nim wojskowe więzienie śledcze. Montelupich nie stało się zakładem karnym w powszechnym rozumieniu. Jego status pozostawał niezmienny aż do wybuchu II wojny światowej we wrześniu 1939 roku. Do tego czasu trafiali tu ci, którzy podlegali sądownictwu wojskowemu: żołnierze zatrzymani w czasie dochodzeń i przesłuchań, ukarani dyscyplinarnie, przywiezieni na szybkie, często surowe rozprawy.

Przez dwadzieścia lat, od 1919 r. do wybuchu wojny, komendantem Montelupich był Jakub Garlicki - niewzruszony strażnik porządku w miejscu, gdzie liczba osadzonych wahała się zwykle między 350 a 400. Gmach żył rytmem codziennych apelów, dźwiękiem kluczy i szelestem raportów. Niby zwyczajne więzienie wojskowe, a jednak w powietrzu czuło się coś jeszcze - jakby ciężar, który dopiero miał spaść.

1939-1945: gdy mury zaczęły krzyczeć

W wilgotny, szary poranek 6 września 1939 roku na krakowski brzeg Wisły wkroczyły niemieckie oddziały. Od strony mostu Piłsudskiego sunęły ko-



lumny Wehrmachtu - miasto wchodziło w okupację, która potrwa 1961 dni. Najpierw panował chaos okupacyjnej władzy: żołnierze wspierani przez policyjne formacje Sipo i SD patrolowali ulice, wyprowadzali ludzi z domów, zabezpieczali najważniejsze budynki. 12 października Adolf Hitler zdecydował o utworzeniu Generalnego Gubernatorstwa, którego stolicą został Kraków, obejmującego ziemie polskie okupowane, a nie wcielone przez Niemców do Trzeciej Rzeszy. Dwa tygodnie później Hans Frank objął funkcję generalnego gubernatora, zajmując Zamek Królewski na Wawelu.

Ruszyły tryby terroru

Wśród wielu narzędzi, którymi okupant dławiał polskie społeczeństwo, szczególnie złowroga była sieć więzień. Jednym z kluczowych jej punktów stało się Montelupich. Po wkroczeniu Wehrmachtu budynek przejęło prawdopodobnie Einsatzkommando 2/I, a gdy ustanowiono Generalne Gubernatorstwo, trafił on pod zarządek komendanta policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa dystryktu krakowskiego. Odtąd oficjalnie nazywał się Polizeigefängnis Montelupich. Dla krakowian nie

było jednak żadnej wątpliwości - to było po prostu Monte. A słowo to szeptano z lękiem.

Już 17 września więzionych w nim było 90 osób, a liczba ta rosła z każdym dniem, jakby budynek zasysał ludzi bez końca. W drugiej połowie 1941 roku Niemcy otworzyli także oddział kobiecy, zorganizowany w przejętej części jednego z budynków zakładu Helców. Później przejęto cały ten kompleks, wyrzucając z niego pensjonariuszy i siostry szarytki.

Do Montelupich zwożono ludzi z całego dystryktu: z Rzeszowa, Sanoka, Tarnowa, Miechowa, Nowego Targu, Nowego Sącza, czasem nawet spoza niego, np. z Warszawy i Lwowa. Po przetransportowaniu wystarczył podpis funkcjonariusza Sipo i rozpoczynał się proces osadzenia w machinie więziennej: wpis do księgi więźniów - imię, nazwisko, zawód, wyznanie. Dalej następowało odebranie rzeczy osobistych, później dezynfekcja, odswadzanie - formalności zamykały człowieka w systemie, z którego rzadko wychodziło się żywym.

Na początku 1941 roku Montelupich przemieniło się w drugie - obok słynnej ul. Pomorskiej - centrum śledcze dla gestapo. Zwykle pomieszczenia

stały się salami przesłuchań, a właściwie miejscami kaźni.

„Jęki i krzyki przesłuchiwanych słyhać było w dzień i w nocy, że nieraz nie mogłyśmy spać” - wspominała Elżbieta Dzierwa, więźniarka sprząająca korytarze.

Przeprowadzanie śledztw i przesłuchań w budynku więzienia było jedną z cech charakterystycznych, która odróżniała Monte od innych więzień policyjnych w Generalnym Gubernatorstwie. Niemcy po wkroczeniu do Krakowa przystąpili do „oczyszczania” miasta z ludzi, których uznali za element wrogi i niepożądany. Aresztów dokonywano na podstawie przygotowanych list. Monte zapełniało się oficerami, urzędnikami, profesorami, duchownymi, adwokatami, nauczycielami. Ludźmi kultury, nauki, handlu. Do tego złapani w łapankach przypadkowi przechodnie, biedni, przeżarci. Każdy mógł tu trafić.

Na Montelupich śmierć była codziennością, i to w dwóch odmianach. Bezpośrednia - na skutek egzekucji pojedynczych i grupowych, które wzmogły się zwłaszcza w drugiej połowie 1943 roku. Była też eksterminacja pośrednia - powolna, rozciągająca w czasie. Głód, choroby, wielodniowe przesłu-

chania, które miały złamać ciało i wolę. W specjalnych salach przesłuchań wisiały szyny, haki, klamry, obręcze, maski gazowe, pejczy, obcegi. Użycie każdego z tych narzędzi mogło stać się odpowiedzią na brak odpowiedzi. Każdy funkcjonariusz miał do tego celu własne „metody”.

Egzekucjom poddawano również więźniów pochodzenia żydowskiego, chorych wenerycznie, sowieckich jeńców, prostytutki, ludzi hardych, wykazujących odrazę do kolaboracji. Wszystkich, których okupanci uznawali za zbędnych.

Montelupich w czasie wojny stało się czymś więcej niż więzieniem - było miejscem „pochłaniającym” trafiających do niego ludzi. Oddawało jedynie ciszę. Kraków nauczył się żyć z tą ciszą.

Po 1945 roku: kaci odchodzą, inni zajmują ich miejsca

79 strzałów - tyle wystarczyło, by Niemcy zakończyli swoją obecność na Montelupich. Cele, korytarze, warte stawały pustymi, ale tylko przez chwilę. Kiedy 18 stycznia 1945 roku do Krakowa weszła Armia Czerwona, zaczęła się kolejna odsłona dramatu, jakby mury dawnego więzienia przywoływały następnych oprawców.

Sowieci zajęli cały kompleks: koszary, baraki, wozownie. W pierwszych tygodniach osadzali tu własnych jeńców oraz żołnierzy Armii Krajowej. W lutym 1946 r. gmach więzienny, będący częścią kompleksu, przekazano Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego.

Reaktywacja więzienia wynikała z politycznej konieczności. „Nowa Polska” potrzebowała miejsca dla skazywanych zbrodniarzy wojennych i kolaborujących z Niemcami, a także dla tych, którzy nie wpisali się w komunistyczny porządek. Żołnierze podziemia niepodległościowego ukrywali się w lasach, uzyskując pomoc ludności cywilnej, dzięki czemu ich

opór mógł być kontynuowany. Jednak przez to i pomagający byli zagrożeni aresztowaniami, ludowa władza potrzebowała więc Montelupich.

W czerwcu 1946 r. więzienie ruszyło pełną parą. Każdy, kto trafił „na Monte”, przechodził tę samą ścieżkę: rewizja, depozyt, wpis do księgi, a potem decyzja - cela zbiorowa czy osobobnie. Pojedyncze cele, choć głównie przeznaczone dla skazanych na śmierć, w praktyce były narzędziem presji psychicznej. Niektórzy siedzieli tam tygodniami, czasem nie wiedząc, dlaczego ich odizolowano. Wystarczył grymas, komentarz, nieposłuszny gest więźnia.

Pobudka o szóstej, ubranie, „kiblowanie” (czyli poranna toaleta), apel, ćwiczenia, modlitwy. Obojętnie, czy ktoś był wierzący, polityczny, kryminalny - rytm więzienia był nieubłagany. Prace fizyczne, dezynfekcja odzieży, pranie, naprawy - monotonna codzienność przerywana jedynie stukotem butów, brzękiem wiader, metalicznym zgrzytem zamków.

Lata 1946-1956 były czasem największego przepełnienia i największego strachu. Po krótkim „oddechu” wiosną 1947 roku liczba więźniów znów rosła. Kaesowcy (skrót od: kara śmierci) zajmowali wyodrębniony blok w prawym skrzydle.

Miejsce straceń owiane było tajemnicą wojskową, ale wielu wiedziało, gdzie padały strzały. To mały plac przy piekarni i garażu - jedyne miejsce odcięte od reszty kompleksu. Osadzeni wykonujący tam rozmaite prace natrafiali na ślady po kulach. To tam wykonano 159 wyroków orzeczonych przez sądy wojskowe w Krakowie. Ciała 155 ofiar trafiły na Rakowice. Wielu z zabitych to żołnierze podziemia, aktywiści, ludzie niewygodni.

Ale Monte nie straciło swojego „politycznego” charakteru także po odwilży. Trafiali tu m.in. obrońcy nowohuckiego krzyża, którzy 27 kwietnia 1960 roku sprzeciwili się decyzji władz o jego usunięciu. Repre-

sje miały nowe twarze, ale sens ten sam.

Jednak to lata 80. zapisały się w zbiorowej pamięci najmocniej. Stan wojenny przyniósł kolejny zwrot: część dawnego bloku kaesowców przekazano Służbie Bezpieczeństwa, by ta mogła nadzorować działaczy Solidarności. Przywózono tu opozycjonistów z całej Małopolski. Monte znów było laboratorium strachu.

Aż do 21 kwietnia 1988 roku. Tego dnia dokonano ostatniej egzekucji w historii PRL: człowiek skazany za morderstwo i gwałt został powieszony. To był ostatni wyrok śmierci wykonany w Polsce. Symboliczna klamra historii: Montelupich zamknęło epokę, którą przez dekady współtworzyło.

Czas transformacji

Po 1989 roku Montelupich znów stało na rozdrożu historii, czekając na nowe zasady, nowe państwo i nową logikę kary. Ale transformacja nie przyszła tu wraz z wielkimi hasłami z telewizji. Montelupich potrzebowało czasu, żeby naprawdę się zmienić.

- Ta prawdziwa, mentalna rewolucja przyszła dopiero z nowymi kodeksami z 1997 roku. Wcześniej wciąż obowiązywały przepisy pamiętające czasy, gdy w Polsce można było orzec karę śmierci, a resocjalizację traktowano jak obowiązek administracyjny, a nie szansę dla człowieka - mówi kpt. Olga Mazur, rzecznik prasowy Aresztu Śledczego w Krakowie.

Aż trudno uwierzyć, że jeszcze w latach 2000. areszt na Montelupich, zaprojektowany na około 700 miejsc, potrafił pomieścić nawet 1200 osób! Dopiero po 2009 roku liczby zaczęły się normować.

- Dziś zaludnienie Monte jest o połowę mniejsze i liczy około 500 osadzonych - mówi ppor. Łukasz Dobrzański, starszy wychowawca.

Liczby brzmią sucho. Ale w miejscu takim jak Montelupich każda z nich to czyjeś oczy, łóżko, talerz, historia. - Milowym krokiem było wykreślenie z kodeksu kary śmierci - mówi kpt. Olga Mazur. - I nowy porządek kar: kiedyś zaczynało się od najsurowszych, dziś pozbawienie wolności to ostateczność - dodaje.

Najbardziej jednak uderza zmiana w filozofii więziennictwa. Artykuł 67 kodeksu karnego wykonawczego brzmi niepozornie, a jednak odwrócił myślenie całej służby. - Już nie zmieniamy osadzonego na siłę. Mamy w nim wzbudzić wolę współdziałania - mówi rzeczniczka. - To była rewolucja: od przedmiotowego patrzania do widzenia człowieka.

A przecież to Montelupich: miejsce, gdzie przez dekady odpowiedzialnością państwa była kara. Teraz miała być procesem, mechanizmem naprawczym. Czy nowe podejście działa? - Osa-



dzony nie ma obowiązku brania udziału w żadnym programie resocjalizacyjnym - Olga Mazur wzrusza ramionami. - Ale jeśli chce, wtedy naszym zadaniem jest pomóc mu chcieć bardziej.

A ppor. Łukasz Dobrzański dodaje: Dziś w służbie więziennej obowiązują: ochrona społeczeństwa, humanitarne i praworządne traktowanie człowieka, resocjalizacja skazanych.

Proste słowa. Ale jakże inaczej brzmią w miejscu, gdzie człowieczeństwo było walutą deficytową.

Dzisiaj zmienił się też profil tych, którzy trafiają na Monte. Wychowawca działu penitencjarnego widzi to codziennie. - W latach 90. była bieda. Dużo kradzieży, włamań do mieszkań, piwnic, samochodów. Dziś złodziei jest zdecydowanie mniej. Jesteśmy aresztem śledczym i zajmujemy się przyjęciami osób skazanych i tymczasowo aresztowanych. W związku z tym możemy zaobserwować, że w izolacji przebywa

więcej przestępców gospodarczych tzw. białych kołnierzyków, cyberprzestępców oraz zwiększa się liczba izolowanych kobiet.

Okazuje się, że w dawnych latach kobiety brały na siebie winy swoich partnerów. Dziś to one częściej odpowiadają za przemoc domową czy oszustwa internetowe.

Najbardziej namacalne i widoczne zmiany dotyczą jednak higieny, medycyny i wyżywienia - kwestii, które w więzieniu są ważniejsze niż cokolwiek innego. - Zgodnie z przepisami w areszcie obowiązuje zróżnicowany sposób żywienia. Jest 7 diet podstawowych i dodatkowo te zlecane przez lekarzy - mówi rzeczniczka. - Stawka dzienna to niespełna 5 złotych, ale przy żywieniu zbiorowym można za tę kwotę dobrze nakarmić.

Zmiany dotyczą także samych cel, w których pojawiły się zabudowane kąciki sanitarne. Aż trudno uwierzyć, że przed transformacją były więzienia bez dostępu do kanalizacji w ce-



lach, o ciepłej wodzie przez całą dobę nie wspominając.

Osadzeni na Monte pracują tu jako pomocnicy kuchenni, fryzjerzy, sprzątający, wydają posiłki - wszystko pod nadzorem funkcjonariuszy. Więzienie funkcjonuje jak małe miasto, tyle że bardziej szczelne, pod kontrolą.

Jednak najważniejsza zmiana dotyczy psychiki zamkniętych tu ludzi. Jeszcze kilkanaście lat temu złowrogą codziennością były samobójstwa, samookaleczenia czy gwałty. - Dziś te statystyki znacznie spadły - podkreśla Łukasz Dobrzański. - Mamy psychologów, procedury, monitoring. Większość korytarzy nadzorują kamery. Żaden osadzony nie może być sam w celi, chyba że jest monitorowana.

Olga Mazur dodaje: Dawniej w jednostkach penitencjarnych dość często zdarzały się bunty i wystąpienia przeciwko administracji. Dziś czasy się zmieniły i osadzeni są świadomi swoich praw. Chcąc je egzekwować, najczęściej piszą skargi, a te są

rozpatrywane przez właściwe organy. Areszt śledczy, jak każda jednostka, może być kontrolowany przez rzecznika praw obywatelskich, Krajowy Mechanizm Prewencji Tortur i inne instytucje. To robi różnicę.

Na pytania o obecne wyzwania aresztu śledczego Łukasz Dobrzański opowiada, że najważniejszy dziś cel w skali całego systemu penitencjarnego to zwiększenie przestrzeni przypadającej na jednego osadzonego. Standard trzech metrów kwadratowych - obecnie obowiązujący w Polsce - coraz bardziej odstaje od europejskiej średniej wynoszącej cztery metry.

Trzypiętrowe łóżka nie były niczym nadzwyczajnym aż do lat 2000. Choć rok 1997 przyniósł metry kwadratowe, w praktyce bywało i nadal bywa ciasno: dwóch dorosłych mężczyzn dzieli przestrzeń wielkości przeciętnej domowej łazienki, a funkcjonariusz musi mieć wiedzę i wyczucie, by zstać ich tak, aby uniknąć konfliktów.

Mimo tych ograniczeń, widać postęp. Co roku prowadzone są remonty: cel, instalacji, elewacji i zmiany te postępują, choć Monte nie ma konkurencji w Krakowie, więc nie można go po prostu opróżnić i odnowić od zera. Pomaga w tym też rosnąca rola systemu dozoru elektronicznego.

- Kara musi zostać wykonana, ale nie zawsze musi odbywać się za murami zakładu karnego, zwłaszcza że w niektórych przypadkach warunki wolnościowe przynoszą lepsze efekty resocjalizacyjne - mówi Łukasz Dobrzański. - Osoba objęta dozorem może pracować, uczestniczyć w życiu rodzinnym, a codzienna odpowiedzialność uczy więcej niż izolacja, choć oczywiście nie każdy się do tego systemu nadaje.

Jednak największa zmiana zaszła nie w murach i infrastrukturze, lecz w ludziach.

Kpt. Olga Mazur zwraca uwagę, że współczesne więziennictwo coraz bardziej opiera się na relacjach i zaufaniu. W oddziałach półotwartych funkcjonariusze działu penitencjarnego pracują z osadzonymi, mając na sobie cywilne ubranie, prowadzą zajęcia sportowe, towarzyszą podczas wyjść. W takiej atmosferze łatwiej o szczerość, o sygnały ostrzegawcze, o informacje, które mogą zapobiec tragedii. Granica między funkcjonariuszem a osadzonym nie znikła, ale stała się bardziej ludzka. Wychowawcy i osadzeni uczą się od siebie nawzajem. Nie ma miejsca na przekonanie o własnej nieomyślności, jest współpraca i wzajemna uważność.

Montelupich nie zrzuciło swojej historii jak starego munduru. Każda cegła pamięta tu więcej niż chciałby usłyszeć ktokolwiek, kto stawia stopę na więziennym dziedzińcu. A jednak paradoks tego miejsca polega na tym, że właśnie tu najdobitniej widać, jak bardzo zmieniła się Polska. I jak bardzo zmieniły się same więzienia.

- Monte to miejsce dziwne i fascynujące jednocześnie. Choć jego mury są naznaczone tragiczną historią, staramy się patrzeć w przyszłość - mówi rzeczniczka.

Bo ostatecznie więzienie nie zmienia się wtedy, gdy zmieniają się przepisy. Zmienia się dopiero wtedy, gdy zmieniają się ludzie, którzy je tworzą: ci w mundurach i ci w dresowych spodniach czekający na koniec odsiadki. Wszyscy są częścią tej samej historii, choć każdy z innej strony krat.

*** Część historyczną opracowano na podstawie „Monte. Więzienie dwóch totalitaryzmów 1939-1949” Katarzyny Łysak i Roksan Szczypty-Szczęch, wyd. Krakowski Oddział Instytutu Pamięki Narodowej**

PIOTR GŁOWACKI: Z KAŻDYM FILMEM DOSTAJĘ SZANSE CIESZYĆ SIĘ ŻYCIEM KOGOŚ INNEGO

„Piernikowe serce” to mozaikowa komedia romantyczna w świątecznej tonacji. Jedną z głównych ról w wyświetlanym właśnie w kinach filmie gra Piotr Głowacki. W naszym wywiadzie popularny aktor podsumowuje wypadające w tym roku 25-lecie swojej kariery

Paweł Gzyl

Reżyser Piotr Weresniak powiedział o „Piernikowym sercu”: „Są filmy, które trzeba opowiadać»między słowami«, bo wymagają od aktorów uwagi, precyzji i wrażliwości”. Takie było „Piernikowe serce” dla Pana?

Trudno się nie zgodzić z reżyserem. (Śmiech) A tak na serio: na pewno taka jest praca z Piotrem. On właśnie pracuje na planie atmosferą i rozmową. Nie jest reżyserem ingerującym w proces budowania postaci przez aktora. Nasze spotkania są zawsze o tym, jak opowiedzieć o człowieku z jakimś rodzajem współodczuwania i w atmosferze humoru. A ja, im jestem starszy, tym bardziej czuję, że to, co najlepszego możemy dać ludziom, to uśmiech.

Pana bohater Paweł z filmu „Piernikowe serce” to „człowiek zagadka”. Trudno zagrać taką enigmatyczną postać?

Zagraniem Pawła sprawiło mi dużo radości, również tej zawodowej. A to właśnie dlatego, że miał swoje zagadki. Jedną jest ta, która znajduje rozwiązanie w finale, a druga to jego związek z żoną Samantą. Bardzo mi się podobała ich relacja łącząca pozornie od siebie różne światy, to, jak Paweł jest oddany swojej żonie.

No właśnie: przeciwieństwem Pawła jest jego żona Samanta: ekspresyjna instagramerka. Musiał Pan więc grać w kontrście do Barbary Kurdej-Szatan. Jak się Wam pracowało?

U mnie to zawsze dzieje się według zasady: „Ja mam swoją

lalkę, ty masz swoją lalkę i razem gramy w jedną grę”. Tak było i tutaj, dlatego pracowałem mi się bardzo przyjemnie nie tylko z moją filmową żoną, ale również z naszą córką i psem. (Śmiech) To był bardzo fajny team, który razem zgodnie zagrał.

Film łączy dramatyczne i komediowe sceny. Odpowiadała Panu taka niejednoznaczna konwencja?

To bardzo życiowa konwencja. Widzowie ją zatem dobrze znają, gramy więc w nią razem z nimi. Film „Piernikowe serce” opowiada o świątach i będzie oglądany w okresie świąt. Mówimy w nim o naszych marzeniach i o naszej codzienności, jak świąta są dla nas męczące i pełne trudnych wyborów, a jednocześnie, że są marzeniem o chwili wspólnego spokoju. Myślę więc, że tutaj ta konwencja zgrywa się z życiem.

Tego rodzaju świąteczne filmy mają dosyć przewidywalną konstrukcję. Nie przeszkadzało to Panu?

Przecież lubimy piosenki, które już kiedyś słyszeliśmy. (Śmiech) Większość historii opowiadanych przez popkulturę jest nam już dobrze znana, całe dzieje kina oparte są przecież na tym samym materiale. To historia bohatera, który wędruje, znajduje to, czego szukał, potem okazuje się, że nie jest to tym, czego naprawdę pragnął, upada, podnosi się i znajduje eliksir. To nam daje nadzieję, że i my mo-

żemy tak samo zrobić ze swoim życiem. Tu też tak jest.

To prawda. „Piernikowe serce” to opowieść o sile rodziny, która potrafi pokonać różne przeciwności i zasiąść razem do wigilijnego stołu. Zgadza się Pan z takim przesłaniem?

To przesłanie jest zgodne z moim rozumieniem funkcji teatru i kina. Przecież tak naprawdę ludzie żyją dzięki spotkaniu. A nasza sztuka jest zawsze o tym: że możemy w jednym miejscu i czasie wszyscy wspólnie robić jedną rzecz.

Co sprawia, że akurat przed Bożym Narodzeniem miękna nam serca?

Zegar. Kalendarz. To moment, w którym uwspólniamy się przez rytuał. Chcąc nie chcąc, przychodzi taka data, której kulturowo przyznajemy magiczną moc.

Pan zasiada najczęściej do Wigilii w rodzinnym gronie w domu czy wyjeżdża do ciepłych krajów?

To jest kwestia tego, jak się postrzega rodzinę na różnych etapach życia. Ja dosyć późno wziąłem ślub i doczekałem się dzieci. Dlatego ta definicja rodziny zmieniała się u mnie. Te świąta mają w swój obrządek wpisane spotkania rodzinne, ale mówią nam one również, że tak naprawdę wszyscy jesteśmy jedną rodziną. Bardzo do mnie przemawia słowność tej tradycji świątecznej. Szczególnie ta Wigilia, która jest isticie polska. Bo największym świętem jest dla nas nie pierw-

szy dzień Bożego Narodzenia, tylko dzień, a właściwie noc, przed. Tak robili tysiące lat temu Słowianie, spotykając się w najdłuższą noc w roku w lęku, że ciemność będzie już na zawsze, oczekując jednak nadejścia słońca. I to, że następnego dnia tego słońca jest już odrobinę więcej, że światło zwycięża mrok - to nas wszystkich łączy. To pokonanie ciemności.

Jakie były święta Pana dzieciństwa?

Do dziesiątego roku życia spędzałem święta na kujawskiej wsi Redecz Wielki, a potem do dwudziestego któregoś w Toruniu. Dziś dzieci każdej zimy zazdroszą mi i pytają: „Tata, a ile było śniegu, jak by-łeś mały?”. Wtedy opowiadałem, że kiedy miałem sześć lat w 1986 roku, to była taka zima, że aby dojść z domu do szkoły, musieliśmy kopać korytarze w śniegu, a jak się szło, to głowa mi nie wystawała poza zaspę. Dlatego dziś często wyjeżdżamy na święta właśnie w poszukiwaniu tego śniegu.

„Piernikowe serce” było kręcone w Toruniu. Jak się Pan czuł, wracając do miejsca swojej młodości?

Kiedy przystępuję do zagrania jakiejś postaci w filmie, to zazwyczaj najważniejszy jest dla mnie zawód, jaki ona wykonuje. Muszę więc zdobyć pewne umiejętności, które potem w kinie będą weryfikowały osoby, które ten zawód naprawdę reprezentują. To dla mnie podstawa, obojętnie czy

gram lekarza, czy detektywa. Zawsze dużą część mojej uwagi poświęcam profesji swojej postaci. Bo wiem, że jeśli lekarz zaakceptuje moją „lekarzkość” na ekranie, to będę miał dostęp do czegoś, co nazywamy wiarogodnością. A w wypadku „Piernikowego serca” w miejsce zawodu weszło miejsce zamieszkania. Najważniejsze było więc dla mnie to, że gram faceta z Torunia, który mieszka w Toruniu. Budując tę postać, chciałem tak zbudować postać Pawła, żeby ludzie mieszkający w Toruniu zaakceptowali swój wizerunek. To było bardzo zbliżające do tej postaci. Kiedy pojawiliśmy się niedawno na premierze w Toruniu, na widowni była moja rodzina, byli znajomi. Po seansie podchodzili i mówili, że wyszło całkiem fajnie. Miałem wtedy poczucie, że moje zadanie zostało spełnione.

To chyba w Toruniu zaczęła się Pana przygoda z aktorstwem, bo to właśnie tam za młodu zaczął Pan występować w teatrze amatorskim. Gdzie Pan złapał tego bakcyła?

Odkąd pamiętam, interesowało mnie aktorstwo, dlatego nie wiem, gdzie był ten początek. Już w głębokim dzieciństwie mówiłem wierszyki, lubiłem występować na szkolnych akademiach. Moja mama była nauczycielką, więc animowała te wszystkie działalności. Po przeprowadzce do Torunia w 1989 roku, kiedy wszystko w Polsce się zmieniło, zacząłem realizować swoje marzenie, podglądane w telewizorze, który był wówczas moim jedynym oknem na świat. Jadąc ze wsi do miasta, myślałem, że wstąpię do Gawędy, że wejdę do świata, który znałem tylko z małego ekranu. Takimi miejscami, które mnie włączyły w świat teatru, był zespół Baby Jagi prowadzony przez Jolę Michalak, i Spięty Teatr Spinaczy, prowadzony przez Grażynę Podlaszewską. Dzięki tym instytucjom, które działały w latach 90., kiedy to o wszystkim zaczynał decydować pieniądź, Toruń dał mi szansę spełnienia moich dziecięcych marzeń. I za to jestem wdzięczny temu miastu jako wspólnocie, która pozwałała w tamtych trudnych czasach dzieciom i młodzieży rozwijać się artystycznie.

Potem wyfrunął Pan w świat: zaczęła studia w Olsztynie, później uczył się w Warszawie, a skończył w Krakowie. Skąd ta wędrówka po uczelniach?

Długo by opowiadać. (Śmiech) Lubię to zrzucić na karb niespokojnego ducha, ciekawości, chęci poznawania świata. Dzięki temu spotkałem po drodze wielu fantastycznych ludzi.

No właśnie: nauka aktorstwa to spotkania z autorytetami.

Kto wywarł największy wpływ na Pana drodze do aktorstwa?

Jako dziecko nauczycielskie, wychowane w szkole, szczęśliwie zawsze lubiłem się uczyć i byłem otwarty na naukę. Mam to zresztą w sobie do tej pory. Dlatego potrafiłem z każdego spotkania wyciągnąć coś, co budowało moją drogę do aktorstwa. Właściwie każda osoba, która poświęcała mi czas, była wtedy choć przez chwilę moim mistrzem. Oczywiście są ludzie, z którymi miałem głębsze i dłuższe relacje. W Olsztynie taką postacią, która jest ze mną do tej pory i nad jej rozmyślaniami nad aktorstwem sam nadal często się zastanawiam, był Stefan Burczyk. W Warszawie trafiłem na rok Jana Englerta, nie mogę więc pominąć jego wpływu. Ale ważna była też Ola Konieczna, która przez wiele lat fascynowała mnie swoim podejściem do aktorstwa. W Krakowie z kolei Krzysiek Globisz, Jacek Romanowski i Jurek Trela.

Po studiach grał Pan w dwóch najlepszych wtedy teatrach w Polsce: Teatrze Rozmaitości w Warszawie i Teatrze Starym w Krakowie. Ten zespołowy charakter pracy w teatrze był dla Pana ważny?

Tak. Życie w teatrze mnie fascynowało - ta wspólna podróż przez świat i opowiadanie jego historii. To było oczywiście bardzo romantyczne podejście. Największy wpływ wywarł na mnie wtedy René Pollesch, u którego grałem w Teatrze Rozmaitości. Kiedy jednak zacząłem czuć, że coś znika we mnie z tego zachwytu nad tą zespołową pracą, przeszedłem do filmu. Tam spotkałem kolejne osoby, które nauczyły mnie znów czegoś innego. Postanowiłem więc w to zainwestować, czując, że praca w filmie wymaga ode mnie na nowo nauczenia się zawodu.

Świat filmu okazał się zupełnie inny niż świat teatru?

Były pewne podobieństwa. W świecie filmu zawiązujemy trupę teatralną na okres zdjęciowy. Te relacje są więc trochę inne: intensywniejsze, szybsze, nie ma tam, przynajmniej na początku tej drogi, tego grania długą piłką, co w teatrze. Przy czym człowiek bardzo szybko orientuje się, że w Polsce ta filmowa trupa jest dosyć ograniczona ilościowo. A ja miałem takie założenie, że chcąc nauczyć się filmowego aktorstwa, muszę grać jak najczęściej, więc przyjmowałem wszystko, co do mnie przychodziło i na co pozwalał mi czas. Kiedy ostatnio robiłem sobie podsumowanie tych 25 lat wykonywania zawodu, okazało się, że byłem na 150 planach filmowych.

Zagrał Pan sporo ról drugoplanowych przez wiele lat. Nie czuł się Pan niedoceniany?



FOT. MAT. PRAS./AGNIESZKA ZEGIER

Piotr Głowacki: Film „Piernikowe serce” opowiada o świętach i będzie oglądany w okresie świąt. Mówimy w nim o naszych marzeniach i o naszej codzienności, jak święta są dla nas męczące i pełne trudnych wyborów, a jednocześnie, że są marzeniem o chwili wspólnego spokoju

Jedynę docenienie siebie w pracy możemy dać sobie wyłącznie my sami. Jeśli sami z siebie nie jesteśmy zadowoleni, to nikt nam tego zadowolenia nie da. Wszystkie role, które zagrałem, składają się na moją wspólną drogę zawodową, która odzwierciedla się w otaczającej mnie sympatii widzów. Stąd wiem, że dla każdego inna moja rola jest ważna. Często spotykam się z tym, że ktoś pamięta jakiś drobniaczek, który zrobił na nim wrażenie i który mu mnie przypomina. Gdybym traktował te drobniaczki jako niewarte mojej uwagi, to pewnie nie wracałyby do mnie w opowieściach tych, którzy mnie oglądali.

Przełomem w Pana karierze byli chyba „Bogowie”. Wielu widzów zobaczyło wtedy po raz pierwszy, że jest taki znakomity aktor, jak Piotr Głowacki. To dla Pana też był wyjątkowy występ?

To był wyjątkowy film sam w sobie. Jako zjawisko. Wprowadził bowiem nowy na naszym rynku sposób opowieści o bohaterze, który jest powszechnie znany i robi coś ważnego i dobrego. Cała sympatia, jaką zdobył ten film u widzów, spływała na wszystkich, którzy wzięli w nim udział. Ten film był zauważony, był opowiadany, miał olbrzymią widownię, zyskał akceptację środowiska. W tym sensie był też ważny na mojej drodze, uwiadamiając moją pracę i osobę.

Na główną rolę czekał Pan jednak aż do „Mistrza”. Zagranie

legendarnego pięściarza z Auschwitz pozwoliło Panu w pełni objawić talent i umiejętności?

To była niezwykła przygoda filmowa. Choć opowiadaliśmy o strasznych rzeczach, dla mnie jako aktora była to ogromna radość. Bo robiliśmy to, aby być razem i z tego faktu czerpać nadzieję. Ta rola dała mi możliwości, które zdarzają się bardzo rzadko. Czternastomiesięczny okres przygotowawczy z pełnym wsparciem producenta, reżysera i ekipy, która trenowała mnie fizycznie, dzięki czemu mogłem spełnić swoje aktorskie marzenie. Jeśli tę szansę dostałby ktoś inny, to też by ją wykorzystał, i oglądalibyśmy na ekranie fantastyczną rolę kogoś innego.

Dzisiaj gra Pan komediowe i dramatyczne role w filmach i serialach. Dobry aktor powinien być wszechstronny?

Ja zawsze tak widziałem ten zawód. On pozwala mi dotykać tak różnych rejonów i spotykać się z tak różnymi ludźmi, jak chyba żaden inny. To tak jakbym siedział z kimś przy ognisku i opowiadał mu coraz to inną historię. W jakiej formie to opowiemy – w widowiskowej pod postacią filmu historycznego czy w bardziej intymnej filmu artystycznego – to tylko opakowanie dla tej treści. Ta różnorodność jest też nie tylko w kinowych konwencjach, ale też w granych postaciach, z każdym filmem dostaję bowiem szansę cieszyć się z czymś kogoś innego.

Ostatnio często można oglądać Pana w produkcjach dla dzieci. Co jest w tym dla Pana pociągającego?

Wierzę, że robiąc coś dla dzieci, mogę spotykać się z najfantastyczniejszą widownią na świecie. Za kilka czy kilkanaście lat będą to przecież dorośli ludzie i ta moja opowieść może się okazać dla nich jakąś wartościową wskazówką, jak żyć.

Wrócił Pan też do teatru. Co Pana do tego skłoniło?

Tym razem to nie teatr instytucjonalny, tylko taki, który jeździ po Polsce. I okazuje się, że mamy za każdym razem pełną widownię. Czyli Polska jest godna teatru. Wierzę, że przyciągnę do tych różnych miejsc coś wartościowego – spektakl, który jest wart obejrzenia. Wspomniany René Pollesch otworzył mnie na sprawczość teatralną. Że możemy się w teatrze zajmować życiem, i to życie jest najbardziej interesujące.

Zgromadził Pan ogromne doświadczenie przez te 25 lat kariery. Pomaga ono Panu w pracy wykładowcy warszawskiej Akademii Teatralnej?

Wierzę, że tak. Praca dydaktyczna jest bowiem również czymś, co było prawie od początku mojego życia. Obserwując moją mamę jako nauczycielkę, środowisko szkolne i studenckie, zawsze mnie fascynowała myśl, że ludzkość może się rozwijać jako gatunek i dzięki przekazywaniu wiedzy. Dziś jest dla mnie coś przejmującego w świadomości, że mogę swoim studentom prze-

kazywać wiedzę, którą ja sam dostałem od osób, które już nie żyją. To choćby wspomniani wcześniej Stefan Burczyk czy Jerzy Trela. Dzięki temu, że ich spotkałem i dostałem coś od nich, mogę to przekazać dalej – mam nadzieję, wzbogacając to jeszcze o moje własne doświadczenie.

Ostatnio największą Pana pasją jest Fundacja Dajesz! Jurajska Republika Wspinaczkowa.

Zacząłem od filmu „Broad Peak”, w którym zagrałem alpinistę. W ramach przygotowań do roli Alka Lwowa przez wiele miesięcy szkoliłem się w Beskidach, na Jurze, w Tatrach i w Dolomitach. Równolegle trenowałem też wspinanie na sztucznej ścianie w Warszawie. Przyjemność, jaką daje mi ten rodzaj aktywności sportowej, sprawiła, że wspinanie stało się ważną częścią mojego życia – pasją, którą podziela ze mną żona Agnieszka oraz nasze dzieci. To stało się dla mnie impulsem do założenia fundacji, która ma na celu popularyzację wspinania w Polsce jako aktywności rekreacyjnej i sportowej dostępnej dla każdego. Fundacja daje mi poczucie bycia autentycznie potrzebnym, dzieląc się tym, czego dowiaduję się od innych ludzi i co sam praktykuję w swoim rodzicielstwie.

Wspinaczka łączy ludzi?

Tak. Bo to ruch, nie sport. Ruch zniknął z życia dzieci, kiedy został zastąpiony przez tablety i siedzenie przed nimi. Kiedyś my jako dzieci wspinaliśmy się

za plecami naszych rodziców. Teraz tego nie ma, w efekcie czego budujemy pokolenie płaskoziemców.

Czym obecnie zajmuje się Pana fundacja?

Najistotniejszym miejscem dla naszej fundacji jest teraz Jura Krakowsko-Częstochowska. To raj, do którego regularnie przyjeżdżam z dziećmi i realizuję swój projekt – Jurajske Spotkania Wspinaczkowe. Łączą one ruch i sztukę, przynosząc wiele radości dzieciom i rodzicom. Ostatnio koncentruję się na projekcie budowy toalet w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej dla tych, którzy się tam wspinają – „Czysta jak Jura”. Bo przecież kiedy chcemy się wspiąć, wybieramy jakąś skałę i spędzamy przy niej cały dzień. A ludzie robią kupy i fantastycznie byłoby w tych miejscach mieć nowoczesne i ekologiczne jurajske łazienki. W grudniu zostanie rozwołany konkurs architektoniczny na ich projekt i wierzę, że w porozumieniu z samorządami uda się go wprowadzić w życie, by móc wspiąć się, a kiedy przyjdzie potrzeba, chodzić w spokoju tam, gdzie nawet król chodzi piechotą. (śmiech)

W zeszłym roku miał Pan okazję posmakować, jak to jest być celebrytą, za sprawą udziału wraz z żoną w programie „Azja Express”. Jakie to było doświadczenie?

Takie jak każde inne z rejonu mojej sztuki, czyli niezwykle. To był projekt, który wycią-

gnął nas na drugą półkulę ziemską, gdzie musieliśmy biec przez nieznaną nam kraj. Do tego nieustannie czekały tam na nas kolejne niespodzianki przygotowane przez organizatorów i poznawaliśmy coraz to nowych ludzi. To było więc bardzo ekscytujące doświadczenie.

Państwa udział spotkał się z żywymi reakcjami w internecie. Spodziewał się Pan tego?

Tak. Trochę już jestem w tym show-biznesie i wiem, jak to wygląda. Internet żywi się jedną stroną takich przedsięwzięć, a rzeczywistość inną. Tyle samo było szumu medialnego wokół naszej pary, ile teraz dostajemy w realu ciepłych słów od ludzi podczas prywatnych spotkań. Ludzie opowiadają, jak śledzili nasze losy i dopingowali nas, jak byli z nami i dziękują nam za coś, co wydawało im się niezwykle, czyli za naturalność i prawdziwość. Czyli za coś, co dziś przestało im się już kojarzyć z telewizją.

Pana żona powiedziała, że to był Wasz późniejszy miesiąc miodowy. Naprawdę tak było?

Tak, wcześniej nie mieliśmy miesiąca miodowego. To był pierwszy raz, od kiedy siedem lat temu nasze bliźniaki pojawiły się na świecie, gdy byliśmy ze sobą tylko we drodze przez tak długi okres. Dlatego choć było to bardzo intensywne czas, to jednak bardzo miły. A potem stęsknieni wróciliśmy do naszych dzieci.

Pana bliźniaki mają obecnie po osiem lat. Garną się już na scenę szkolnego teatryku?

Ida i Aaron najchętniej teraz się wspinają i w ogóle nie chodziłoby do szkoły. Ale już pojawia się u nich zainteresowanie słowem. Ida wystąpiła niedawno w konkursie recytatorskim. Sama się zgłosiła i zabroniła mi w ogóle interesować się tą sprawą, nawet nie miałem jej więc okazji posłuchać w domu. Takie zainteresowania są u nich jak najbardziej naturalne – dzieci wszak mają najbliższy dostęp do tych zawodów, które uprawiają ich rodzice. Na pewno jest w tym też po prostu chęć bycia z rodzicem. Bo kiedy idę do pracy na plan filmowy lub do teatru, to wtedy nie ma mnie z dziećmi. Dlatego aktorstwo jest dla nich czymś, co im mnie zabiera. A dla dzieci najważniejsza jest uwaga, bliskość i czas, jaki spędzają z nimi dorośli. Dlatego próbuję im te swoje nieobecności rekompensować aktywnością wspinaczkową, wspólnymi wakacjami, wypadami na łono natury, chodzeniem po górach. Bo w tej naszej codzienności jak na razie teatr i kino kojarzą im się przede wszystkim z tym, że taty nie ma w domu. Zobaczymy, co będzie dalej.

Na początku czerwca mówił pan o książce, a właściwie cyklu książek, który pan właśnie rozpoczynał. Czy ta wydana niedawno wpisuje się w ten cykl?

Rzeczywiście, nasza ostatnia rozmowa była na temat cyklu, który wtedy wymyśliłem - opowieści o XIX-wiecznym Szczecinie. Pierwsza książka z tej nowej serii („Ideburga”) ukazała się właśnie w czerwcu. Owszem, będę kontynuował ten cykl. Ale nie tym razem (śmiech).

Nie tym razem?

Książka, która niedawno się ukazała, dotyczy jeszcze innej historii, innych przygód i jest z zupełnie innej bajki. Wienc na tę kolejną część tego cyklu o XIX-wiecznym Szczecinie trzeba jeszcze poczekać. Potrzebuję trochę więcej czasu, żeby poukładać sobie wszystko w głowie.

Jak się umawialiśmy na rozmowę i pan szukał czasu i mówił, że nie ma go pan zbyt wiele, bo pisze pan książkę, to co to znaczyło? Jaką książkę właściwie pan teraz pisze?

Tak, przyznam, trochę się to wszystko skomplikowało. Wtedy, w czerwcu, jak mówiłem, że piszę jakąś książkę, to właśnie pisałem tę, która teraz wyszła. Miałem taki lekki poślizg. Zresztą po raz pierwszy zdarzyło się tak, że napisałem dwie książki w roku. I przyznam, że mi to się mocno dało we znaki. Natomiast teraz powstaje właśnie druga część tego cyklu o XIX-wiecznym Szczecinie. Tę opowieść mam teraz na biurku (a właściwie na monitorze) i wyjdzie ona na wiosnę przyszłego roku. Co prawda obiecałem wydawnictwu, że uporam się do gwiazdki, ale już teraz widzę, że to mało prawdopodobne. Pewnie trochę się spóźnię i dopiero w styczniu oddam do redakcji.

Rzeczywiście trochę to skomplikowane, ale wróćmy do historii, którą opisał pan w książce niedawno wydanej. O czym jest ta historia?

Zawsze trudno jest mówić o książce, która dopiero co pojawiła się na księgarskich półkach. Tym bardziej o książce, która jest - jak w tym wypadku - thrillerem. Lepiej nie spojlerować, nie odkrywać za dużo, zachować jednak tajemnice, w odkrywaniu których czytelnik będzie miał frajdę. Tak jest generalnie z kryminałami, z książkami sensacyjnymi, że trudno o nich rozmawiać w trakcie jakiejś promocji. Trzeba bardzo uważać, żeby nie zdradzić zbyt wiele. Będę się więc posługiwał ogólnikami. Choć jak czytam blogerów, to okazuje się, że oni takich problemów nie mają. Oni zdradzają niemal wszystko, łącznie z tym, kto zginął i kto

HERMAN: ZAZWYCZAJ TAK BEZTROSKO NIE MORDUJĘ BOHATERÓW

Rozmowa z Leszkiem Hermanem, pisarzem i architektem, autorem wydanej niedawno książki „Wrak Albionu”, autorem kryminałów z historią Pomorza Zach. w tle

Bogna Skarul

zabił. Zazwyczaj psują mi tym lekturę. O swojej nowej książce też już przeczytałem kilka recenzji, które - moim zdaniem - za dużo zdradzają.

A co pan może zdradzić?

Ta książka miała być kryminalna, sensacyjna, przygodowa. Z racji tego, że sporo czasu poświęciłem na research, przygotowując się do pisanie o dziewiętnastowiecznym Szczecinie, postanowiłem, że ta druga książka będzie mniej historyczna, a bardziej taka sensacyjna właśnie. Specjalnie to wymyśliłem. Miał być to taki typowy thriller z Netfliksa (sic). Taki komplet - thriller, sensacja z niewielką ilością historii.

Ale trup się w niej ściele?

No tak, jak to w thrillerze. Trupów będzie nawet zdecydowanie więcej jak na mnie. Zazwyczaj tak beztrosko nie morduję bohaterów.

Właśnie, trochę byłam zdziwiona. To nie jest podobne do pana?

Tak, ale tak miało być właśnie, to miała być taka książka sensacyjna, kryminalna i tam trochę tych zwłok musiało się pojawić w związku z tym. Takie było założenie.

To przynajmniej proszę uspokoić czytelników i zdradzić, że mimo wszystko to dobrzy bohaterowie wygrywają?

Ci, co mnie znają, to wiedzą, że ja właściwie tak bezpardonowo nie zabijam, tak jak niektórzy kryminaliści (śmiech). Powiem inaczej, zwłoki były niezbędne do tego, żeby akcję posuwać do przodu. Prawie udało mi się przypadkiem zacytować Agatę Christie.

Trochę pan mnie uspokoił. Dla mnie to ciekawe pytanie, bo o czymś musi świadczyć. Pojawia się nie pierwszy raz.

A o co jeszcze pytają pana potencjalni czytelnicy w kontekście tej ostatniej powieści? Są ciekawi, czy wszyscy moi stali bohaterowie przeżyli



Leszek Herman: Lepiej nie spojlerować, zachować tajemnice, w odkrywaniu czytelnik będzie miał frajdę

i czy nie kusiło mnie, żeby któregoś z nich zabić?

I co? Kusiło?

Kusiło mnie, ale tym razem się powstrzymałem. Wszyscy przeżyli.

Uff!

Na razie za wiele nie zdradziłem. No to już trochę jesteśmy do przodu z tą książką.

Co jeszcze może pan zdradzić?

Ta historia w książce toczy się właściwie całkowicie wspólnie. Jest związana z poszukiwaniem skarbu. Ekipa poszukiwaczy rusza na morze po to, żeby znaleźć klejnoty, które zaginęły na początku XIX wieku. I to jest jedyny związek z tą epoką, w której to się dzieje, bo wstawki historyczne dotyczą właśnie tej historii zaginięcia klejnotów.

Co to za klejnoty?

Morza Irlandzkiego. I tak zakończyła się „Szachownica”. Miałem się już tym nie interesować. Po prostu miało być takie otwarte zakończenie, bo wiele takich historii tak się kończy. Przecież nie wszystko się znajduje, nie wszystkie zagadki znajdują swoje rozwiązanie w rzeczywistości. Ale moi czytelnicy mi nie odpuszcili - dostałem mnóstwo pytań i maili. Pytali, czy moi bohaterowie będą szukać tego skarbu, czy będą nurkować do tego statku, pytali, jak to się skończy? I pomyślałem właśnie, że tę historię akurat wyciągnę i teraz opowiem dalej.

Muszę zapytać, bo pan słynie z tego, że pisze książki, w których jest dużo prawdy historycznej, co w tej najnowszej książce jest prawdą, a co jest zmyśloną historią?

Prawdą jest opowieść o kradzieży skarbu. Prawdą jest to, że Hohenzollernowie sprzedawali klejnoty koronne. W swojej książce wymyśliłem, że te klejnoty to będzie wyjątkowa, bezcenna kolekcja szafirów, wśród których jeden był jedynym z największych szafirów na świecie. I to jest rzecz bardzo prawdopodobna. Wśród klejnotów, którymi zdobione były korony ze Skarbcza Wawelskiego, był jeden szafir wielkości jajka. Oczywiście nie ma żadnych fotografii tych koron z oczywistych względów. Zachowały się jedynie wizerunki i obrazy królów i królowych ubranych w te korony, no i oczywiście opisy. To mi wystarczyło, żeby stworzyć historię w książce. Ta książka była także takim swoistym eksperymentem pisarskim. Ponieważ z racji tego, że ten statek zatonał w okolicach Szkocji, przy przemyku z Morzem Irlandzkim, to kontynuując tę akcję, wiedziałem, że nie będę miał wielu możliwości, żeby fabułę umieścić na Pomorzu i w Szczecinie. Dlatego też skupiłem się na znalezieniu jak najciekawszych wątków i tajemnic z okolic, gdzie zatonał feralny parowiec.

O ten Szczecin to miało być moje kolejne pytanie (śmiech).

Tym razem nie ma Szczecina, bo musiałem zostać w Szkocji. Stwierdziłem, że trudno, tak musi być. Moi bohaterowie tam będą nurkować, tam będą szukać klejnotów, więc muszą tam zostać na czas całej akcji w książce. Zacząłem więc grzebać w archiwaliach i wygrzebałem mnóstwo kapitalnych historii, kapitalnych tajemnic szkockich, związanych z Półwyspem Galloway, z miasteczkiem Portpatrick, gdzie stacjonują moi bohaterowie. I tak to się ułożyło.

Jak to się stało, że już siedział pan w historii „Ideburgi”

i raptownie zbił pan przeskok na zupełnie inną opowieść?

Bo „Ideburga” to była taka rzeczywiście książka wynikająca z potrzeby oderwania się trochę od tego ciągłego pisanie o sensacjach współczesnych. Chciałem napisać coś takiego trochę innego. Chciałem także kompletnie zmienić bohaterów, bo miałem już dosyć ciągle tych samych. Używałem ich do różnych celów, w różnych grupach, w różnych konfiguracjach, tak się ratowałem przed tym, żeby się nie zanudzić ciągle z tą samą grupą. Potrzebowałem jednak od nich wytchnienia. Poza tym chciałem napisać książkę właśnie z tego okresu. Ten 1890 rok w Szczecinie to był kapitalny okres. Pierwsze samochody, pierwsze rowery, pierwsze wielkie fabryki. Pojawiało się w Szczecinie zupełnie nowe społeczeństwo, fabrykanci, przemysłowcy, traciła znaczenie arystokracja. To był bardzo ciekawy okres, a my o nim bardzo mało wiemy. Natomiast „Wrak Albionu” był na prośbę czytelników i jest kontynuacją przygód moich starych bohaterów.

To teraz wychodzi na to, że pisze pan dwa cykle.

No tak (śmiech). Było z tym trochę bardziej prozaicznie. Wymyśliłem sobie (nie miała baba kłopotu), żeby napisać dwie książki rocznie, a nie jedną. I stąd się zrobiły dwa cykle. Myślałem sobie, że piszę ciągle jedną książkę, która cały czas wychodzi przed gwiazdką, tymczasem inni w tym czasie piszą cztery, pięć - co nawiasem mówiąc, dla mnie jest niewyobrażalne - ale pomyślałem sobie, że dwie może spróbuję.

A ja teraz wrócę do pytania, jakie zadałem panu z 10 lat temu - czy pan jest teraz już bardziej architektem, czy pisarzem?

Jak obserwuję kolegów piszących w Szczecinie, to, niestety, kończy się to tym, że oni rezygnują ze swojego pierwszego zawodu na rzecz pisanie. Zresztą teraz już można, bo jeszcze parę lat temu nie było to możliwe, bo z pisanie nie dało się żyć. Teraz można. Szczególnie jak się pisze kryminały czy sensacje, tego typu literatura pozwala się utrzymać. Więc mam wrażenie, że ta decyzja jest przede mną.

Ale na razie daje pan radę być i pisarzem i architektem?

Ledwo, ale ja lubię projektowanie. To jest fajny zawód, mi się to podoba i nie chcę z niego rezygnować. Poza tym ten zawód daje mi materiał do pisanie. Ciągłe się stykam z różnymi takimi ciekawymi rzeczami na budowach czy przy projektach, ciągle się stykam z jakąś historią. I to jest coś, co mi daje również tematykę do książek.

Lapowiedział go papież Paweł III bullą „Laetare Ierusalem” („Raduj się Jerozolimol!”) z 19 listopada 1544 r., określając następujące cele przyszłego soboru. Były nimi: wyćpienie herezji, odnowienie dyscypliny kościelnej i poprawa obyczajów, oraz wprowadzenie zewnętrznego pokoju w całym Kościele. Słusznie zatem nazwano ten sobór „kontreformatywnym”.

Kierunek: Trydentum

Paweł II był tym papieżem, który pierwszy zdał sobie sprawę z realnego rozłamu chrześcijaństwa w Europie. To za jego pontyfikatu działalność rozpoczęło Towarzystwo Jezusowe, czyli jezuita. I To on w Ratybonie, w 1541 r. zorganizował debatę, która miała zbliżyć katolików i protestantów. Wobec teologicznych rozbieżności rozmów spełzły na niczym i spotkały się z dezaprobatą zarówno papieża, jak i Marcina Lutra.

Paweł III sięgnął więc po drastyczniejsze środki: w 1542 r. powołał Kongregację Kardynalskiej Świętej Rzymskiej Powszechnej Inkwizycji, która miała zajmować się m.in. rozpatrywaniem oskarżeń o przejście na protestantyzm. Ale co najważniejsze: zgodził się na zwołanie soboru powszechnego. Ten rozpocząć się miał w 1542 r., ale temu zamierzeniu przeszkodziła wojna, którą cesarz Karol V prowadził z Francją, wspierając niemieckich protestanckich książąt. Sobór ruszył więc trzy lata później.

Trydent był wówczas siedmiotysięcznym miastem przynależnym terytorium państwa Karola V Habsburga, władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Malowniczo położony nad Adygą, z mnóstwem rzymskich zabytków i z kuchnią, o której już w XVI w. było głośno, dobrze nadawał się na miejsce dysput. Obywały się one w głównej w katedrze pw. św. Wigiliusza (choć uroczysta inauguracja miała miejsce kilkaset metrów na wschód od katedry, w kościele pw. Świętej Trójcy), częściowo zaś w Palazzo Pretorio. Purpuraci zakwaterowani byli głównie w Castello del Buonconsiglio, czyli rezydencji biskupów i w siedzibach okolicznej arystokracji.

Armia duchownych

Na inaugurację soboru największą hierarchów przybyło z Rzymu, blisko 180, 31 z Hiszpanii, 27 z Francji, ośmiu z Grecji (z zamorskich terytoriów weneckich), po trzech z Niderlandów, Portugalii, Węgier, Irlandii i z Polski (w 1563 r. kard. Stanisław Hozjusz został jednym z pięciu legatów papieskich na ostatnią sesję),

KLUCZOWY SOBÓR W HISTORII KOŚCIOŁA

W połowie grudnia 1545 r. w Trydencie rozpoczął się 19. Sobór Trydencki. Ten sobór powszechny zakończył się dopiero w 1563 roku. Zreformował i zmienił oblicze katolicyzmu na ponad 400 lat, aż do Soboru Watykańskiego II

Mariusz Grabowski



Sobór rozpoczęło w 1545 r. 66 uczestników kardynałów, arcybiskupów i generałów zakonnych

dwóch z Niemiec, po jednym z Czech, Chorwacji. Dominacja potężnych frakcji była więc sytuacją nieuniknioną.

W miarę, jak rosła liczba dostojników kościelnych przybywających na sobór, coraz wyraźniej w małym mieście, które ich gościło, dawały znać o sobie problemy z wyżywieniem i zakwaterowaniem. Sama tylko świta kard. Ercole Gonzagi, głównego legata papieskiego w końcowej fazie soboru, składała się z blisko 160 osób, zaś kard. Karol Gwiszusz przybył z 80 dworzanami.

Do tego dodać trzeba teologów i doradców, odwiedzających sobór arystokratów, i oczywiście posłów wielkich władców, którzy na pewno nie przybywali bez asysty. W końcowej fazie soboru wysłannik korony portugalskiej pojawił się w towarzystwie 80-osobowej świty. W tym czasie z powodu soboru liczba ludności miasta powiększyła się o ok. 2 tys. Obok wyżywienia i zakwaterowania dla wszystkich gości, miasto musiało też zapewnić obrok dla koni, na któ-

rych przybywali, co samo w sobie stanowiło poważny problem.

Dwie dekady obrad

Soborowe sesje odbywały się przez 18 lat, aż do 1563 r. Najpierw zostały przerwane przez wybuch epidemii tyfusu. Wznowiono je w maju 1551 r., już za rządów papieża Juliusza III i wtedy na obradach pojawili się również protestanci, choć nieliczni. Obrady przerwano ponownie niecały rok później ze względu na wznowienie wojny między Karolem V, a Francją i protestanckimi książętami.

Znów nastąpiła przerwa, tym razem dziesięcioletnia przerwa. Nie obradowano, ale historia na odcinku katolicko-reformacja przyspieszyła: w 1555 r. cesarz Karol V został zmuszony do podpisania pokoju w Augsburgu, który zrównywał w prawach katolików i zwolenników reformy. Cztery lata później, w styczniu 1559 r. kolejny papież - Paweł IV wprowadził w Kościele In-

dex librorum prohibitorum, czyli Indeks Ksiąg Zakazanych.

Obrady soborowe wznowiono w Trydencie w styczniu 1562 r., z inicjatywy papieża Piusa IV, a ostateczny ich koniec nastąpił w grudniu następnego roku. Co ciekawe, w obradach nie brali udziału papież, którzy pozostawali z ojcami soborowymi w stałym kontakcie korespondencyjnym.

„Katolicyzm trydencki”

W czasie 18 lat trwania soboru Kościół podjął ogromny wysiłek unowocześnienia swej struktury i uściślenia doktryny. Odciął się od poglądów głoszonych przez zwolenników reformacji i jasno sprecyzował swoje stanowisko w tej sprawie. Potwierdził np. istnienie siedmiu sakramentów, rzeczywistą obecność Chrystusa w Eucharystii, ujednolicił liturgię, nakazał wydanie Katechizmu Rzymskiego.

Ogromną wagę przywiązywano do podniesienia moral-

nego i intelektualnego poziomu duchownych. Zakazano nepotyzmu i kumulowania urzędów - biskup stał się osobą odpowiedzialną za duszpasterstwo na terenie własnej diecezji. Został także zobowiązany do przebywania na jej terenie, z wyjątkiem odbywania wizyt w Rzymie raz na pięć lat (wizyta ad limina apostolorum).

W drobiazgowy sposób uzgodniono zasady organizacji synodów diecezjalnych i prowincjonalnych. Zorganizowano także system seminariów duchownych, by przed rozpoczęciem posługi uzyskali odpowiednie wykształcenie. Nakazano także prowadzenie ksiąg metrykalnych i ujednolicono zasady udzielania ślubów. Zabrano też o rygory sztuki sakralnej, w tym muzyki.

Co ciekawe, to w trzeciej fazie soboru, na sesjach od 17 do 25, odbywających się w latach 1562-1563, opracowano najważniejsze zasady, na których miała opierać się nauka i funkcjonowanie Kościoła katolickiego. Sobór na tyle umocnił katolicyzm, że stworzył rodzaj muru pomiędzy nim a protestantyzmem

„Wielka radość nasza”

„Nadszedł nareszcie dzień 3 grudnia, w którym sobór miał święte swoje sprawy ukończyć. Wspaniałe kazanie z tego powodu powiedział Hieronim Ragazzoni, biskup Nazjanceński, dając w nim obraz spełnionych czynności soboru. Niech nam wolno będzie, w skróceniu podać tu niektóre z niego wyjątki. »Większa zaiste byłaby dziś radość nasza, mówił mówca czcigodny, gdyby na tym okręcie, którym płyniemy, byli razem z nami i ci, z których przyczyny sobór został zwołany. Wszakże nie nasza w tym wina, bośmy i miasto ich niemieckie wybrali, i straży nie mieliśmy przy boku, by ich nie zrazić, i kondukt wolny udzieliłiśmy im, i bardzo długo czekaliśmy tu na nich, a upominać i prosić ich nie ustawialiśmy, by do poznania prawdy zbliżyli się» - pisał o soborze ks. Antoni Bonifacy Brzeziński, XIX-wieczny badacz dziejów Kościoła, w swej „Historii Soboru Trydenckiego”

Dodajmy, że z powodu informacji o chorobie papieża postanowiono przyspieszyć zakończenie obrad, stąd dekrety ostatniej, 25. sesji, tworzone bez dysput na kongregacjach generalnych. Podano je zatem bezpośrednio pod głosowanie bez możliwości komentarza.

Zaplanowana nowa pobożność

Dzieło Soboru Trydenckiego dość szybko zaczęto

wdrażać w życie. W kolejnych latach konsekwentnie wprowadzano zmiany i reformy: w 1568 r. ogłoszono m.in. tekst brewiarza, mszału rzymskiego i zakaz łączenia dostojenstw kościelnych. W 1592 r. ogłoszono obowiązujący tekst Biblii, tzw. Wulgatę. Ostateczna interpretacja tekstu Pisma Świętego została zastrzeżona jedynie dla teologów..

Sobór miał także wpływ na życie społeczne. Wprowadzone reformy liturgiczne oraz doktrynalne zmieniły sposób, w jaki wierni praktykowali swoją wiarę. Uznanie sakramentów za niezbędne do zbawienia wpłynęło na ich postrzeganie religii, a co za tym idzie na codzienne praktyki religijne. Do reform trydenckich trzeba przykładowo zaliczyć wprowadzenie obowiązkowej formy prawnej zawierania małżeństw.

Jednocześnie w kościele pojawiło się nowe pokolenie ludzi oddanych bez reszty idei przywracaniu wiodącej roli katolicyzmu oraz działalności misyjnej. Należeli do nich wspomniany już kard. Stanisław Hozjusz (1504-1579), czy późniejsi święci: Filip Neri (1515-1595), Karol Boromeusz (1538-1584) i Franciszek Salezy (1567-1622).

Sobór a polityka

Proces wcielania w życie uchwał trydenckich inicjował oficjalnie przyjęcie postanowień soborowych przez panujących oraz przez episkopat poszczególnych krajów. Narzędziem wprowadzania w życie kościołów lokalnych postanowień soboru były synody prowincjalne i diecezjalne. Jednakże bez udziału władzy państwowej, od której zależały również nuncjatury, reformy nie mogłyby być wprowadzone w takim zakresie.

Jak bardzo było to trudne, widać na przykładzie Rzeczypospolitej. Biskupi i członkowie kapituły z pewną rezerwą przyjmowali dekrety o zakazie kumulacji beneficjów i obowiązku rezydencji, choć król Zygmunt August przyjął postanowienia soboru już w 1564 r. na sejmie w Parczewie.

Największe trudności z ich przyjęciem wystąpiły w metropolii gnieźnieńskiej. „Kilkrotnie próby zwołania synodu tej metropolii, podejmowane przez prymasa Jakuba Uchańskiego, nie powiodły się. Dopiero wstąpienie na tron Stefana Batorego stworzyło korzystniejszą sposobność do przyjęcia uchwał Tridentinum. Doszło do tego dopiero podczas synodu prymacjalnego, odbytego 19 maja 1577 r. w Piotrkowie” - pisze ks. Janusz Gręźlikowski w tekście „Trydencka reforma i odnowa Kościoła.

Portret pamięciowy nie służy do identyfikacji, a do typowania

Z wykształcenia plastyk, z zamiłowania obserwatorka ludzkich twarzy, Ewa Zemło była pierwszą portrecistką policyjną w woj. podlaskim i od lat tworzy portrety pamięciowe

Agnieszka Domanowska

Jej praca to nie tylko składowanie elementów twarzy w komputerze. To przede wszystkim spotkania z ludźmi, którzy jeszcze godzinę wcześniej mogli przeżyć coś, co zmieniło ich życie. To rozmowy z ofiarami gwałtów, ze świadkami przemocy, z dziećmi, które nie powinny znać takich emocji. A jednocześnie - to zawód, który daje poczucie sensu, sprawczości i wyraźnej granicy między tym, co dobre, a tym, co złe.

Pani Ewo, jak trafiła pani do policji? To chyba nietypowa droga dla plastyczki.

To prawda, w ogóle nie planowałam kariery w policji. Z wykształcenia jestem plastykiem, współpracuję z teatrem. Do policji trafiłam... żeby szerzyć kulturę. Prowadziłam na pół etatu policyjne spotkania ze sztuką - koło fotograficzne, organizowałam wystawy, plenery malarskie. Ludzie często się dziwią, ale w policji też pracują osoby wrażliwe na sztukę. Pewnego dnia naczelnik laboratorium kryminalistycznego „wyhaczył”, że jest u nas ktoś, kto rysuje, a w województwie podlaskim nigdy nie było specjalisty od portretów pamięciowych. Zaproponował mi szkolenie. I tak zaczęła się przygoda. Kiedy zobaczyłam, na czym polega ta praca, pomyślałam: „Ale świetna sprawa!” Tworzysz coś, spotykasz ludzi, pracujesz jak plastyk - tylko w innych warunkach.

Czym właściwie jest portret pamięciowy? Bo w filmach wygląda to spektakularnie: świadek opisuje, a za chwilę mamy twarz przestępcy.

I to jest właśnie częste nieporozumienie. Portret pamięciowy nie służy do identyfikacji, a jedynie do typowania. Czyli tworzymy obraz osoby, który może pasować do kilku ludzi - i na tej podstawie policja wytypowuje kandydatów. Przychodzi świadek, osoba pokrzywdzona lub ktoś, kto przypadkiem widział daną osobę, i opisuje jej wygląd. Kiedyś byliśmy szkoleni z rysunku i wszystko wykonywaliśmy ręcznie. Teraz większość portrecistów w Polsce

pracuje komputerowo. Mamy katalogi podzielone na elementy twarzy - oczy, nosy, usta, włosy - i składamy całość w programie graficznym. Ja pracuję w Photoshopie.

Ile czasu zajmuje stworzenie portretu?

To zależy wyłącznie od osoby, która opisuje. Jeśli ktoś dobrze pamięta i chce współpracować, jest drobiazgowy - portret może powstać w godzinę, czasem w trzy. Technika nie ma tu większego znaczenia. Technologia się zmienia, ludzie nie. Pracujemy z dziećmi i z osobami starszymi - każdy inaczej zapamiętuje.

Wspomniała Pani o rysunku ręcznym. Dużo takich portretów Pani stworzyła?

Kiedy rozwijałam pracownię - bo w naszym województwie byłam pierwszą portrecistką - robiłam ponad sto portretów rocznie. Wszyscy portreciści musieli kiedyś mieć zdolności plastyczne, zdawaliśmy wstępne egzaminy z rysunku, zanim w ogóle dopuszczano nas do szkolenia. Przez pierwszy rok pracowało się wyłącznie techniką rysunkową. Praca w programie graficznym jest po prostu wygodniejsza. Można dowolnie zmieniać proporcje, wracać do poprzednich elementów, poprawiać tonację, kolorystykę. Przy rysunku - jeśli świadek zmieniał zdanie - trzeba było wycierać gumką i zaczynać od początku.

Czy portrety są rzeczywiście podobne? Wydaje się to trudne - sama nie wiedziałabym, jak zacząć opisywać twarz.

Wiele osób mówi dokładnie to samo: „Nie mam pamięci do twarzy”. A potem okazuje się, że opisują świetnie. Ale bywa też odwrotnie. Pamiętam sytuację z trzema świadkami, którzy widzieli tę samą osobę w tym samym czasie. Z każdą osobą pracowałam oddzielnie - i powstały trzy zupełnie różne portrety. Co więcej, każda osoba zapamiętała inne nakrycie głowy. Jedna mówiła o czapce z daszkiem, druga o czymś przypominającym jarmułkę, trzecia o szoferce. Każda była absolutnie pewna



Mamy katalogi podzielone na elementy twarzy - oczy, nosy, usta, włosy - i składamy całość w programie graficznym - mówi Ewa Zemło, policyjna portrecistka

swojej wersji. Nie dało się ich przekonać, że widziały to samo. To pokazuje, jak działa ludzka pamięć.

A kto jest bardziej wiarygodny - kobiety czy mężczyźni?

Naukowcy prowadzą różne badania, ale z mojego doświadczenia - nie ma reguły. Ludzie są po prostu różni. Mówi się, że kobiety lepiej zapamiętują szczegóły, ale ja na przykład sama nie mam dobrej pamięci do twarzy. Miałam też ciekawe przypadki z osobami starszymi. Kiedy popularne były oszustwa „na czary-mary”, wiele takich osób - zwłaszcza z małych miejscowości - zaczynało opisywać od stereotypu: „Musiała wyglądać jak czarownica”, czyli nos do dołu, przyszczy, jakieś charakterystyczne rysy. Łączyli słowo „czary-mary” z wyglądem, który znali z bajek.

Czy jest portret, który szczególnie zapadł Pani w pamięć?

Tak, jeden na pewno. Byłam młodsza, pełna energii. Pracowałam z dwójką dzieci, około 10-11 lat, które były zadowolone przez mężczyznę. Stworzyliśmy portret, pokazaliśmy go dzielnicowym. Jeden z nich spojrział i powiedział: „To mój rejon. Jedziemy”. Pojechali i zatrzymali tę osobę. To są te momenty, w których widzisz, że twoja praca realnie pomaga. Daje ogromną satysfakcję.

emocji na siebie. Trzeba znaleźć sposób, żeby psychicznie się chronić.

Jak ta praca wpływa na Pani psychikę?

W policji nie da się pracować obojętnie. Z czasem zaczyna się widzieć zagrożenia wszędzie. Człowiek robi się bardziej ostrożny, zwłaszcza w życiu prywatnym - wobec dzieci, bliskich. Kiedy mamy świadomość, co i w jakich okolicznościach dzieje się wokół, to zostaje w głowie. W laboratorium zajmuję się też identyfikacją osób i zwłok na podstawie zapisu wizualnego. Najczęściej to kradzieże i monitoringi, ale trafiają się też zwłoki w różnym stanie. Myślałam kiedyś, że mnie to nie rusza. A jednak zostaje.

Jest Pani jedyną biegłą w regionie. Jak wygląda taka praca w praktyce? Dzwoni telefon w środku nocy?

Kiedyś tak. Byłam bardzo mobilna, jeździłam po całym województwie, nawet do mieszkań - zwłaszcza do osób starszych, które nie mogły dojechać. Zdarzało się to także w Wigilię. Ale panowała wtedy atmosfera ogromnego zaangażowania - jechało się i już. Robimy coś, działamy! Dziś polityka jest inna. Pracujemy stacjonarnie, a osoby do nas dowożone są przez policjantów. Nie ma już całonocnej gotowości.

Mimo trudnych momentów - to nadal dobra praca?

Bardzo. Jest ciekawa, daje poczucie sensu. Cieszę się, że trafiłam do policji. To nie jest zwykłe osiem godzin za biurkiem. Spotykasz ludzi - młodszych, starszych, różnych. Tworzysz coś, pomagasz, używasz umiejętności plastycznych w pracy, która naprawdę ma znaczenie.

To jest odrażające. Ludzie robią naprawdę straszne rzeczy, których na co dzień nie widzimy. A policja to pokazuje.

Oprócz portretów pamięciowych zajmuje się Pani identyfikacją. Na czym to polega?

Jestem biegłą w tym zakresie - na razie jedyną w województwie. To zdecydowanie bardziej stresująca praca, bo portret pamięciowy służy jedynie typowaniu. Natomiast identyfikacja z monitoringu to opinia biegłego, dowód w sprawie. Tutaj można kogoś skrzywdzić, jeśli zrobi się to nieprecyzyjnie. Znamy przykład Tomasza Komendy - opinia biegłego zaważyła na całym jego życiu. Dlatego trzeba pracować bardzo odpowiedzialnie. Zdarzają się też zadania nietypowe. Dla muzeum w Suwałkach analizowałam zdjęcia Marii Kopnickiej - ustalałam, czy osoba na zdjęciu to rzeczywiście ona. Zgłosił się kiedyś ksiądz z prośbą o ocenę autentyczności zdjęć świętego. To również są bardzo ciekawe tematy.

pod PARAGRAFEM

WSPOMNIENIE

Pamiętajcie o Cornwellu!

Jutro piąta rocznica śmierci Johna le Carrégo, a właśc. Davida Johna Moore'a Cornwella (ur. 19 października 1931 roku, zm. 12 grudnia 2020 r.) – brytyjskiego autora kryminałów, funkcjonariusza MI6. Gdyby nawet nie napisał kilkudziesięciu doskonałych powieści, to ta jedna – „Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg” z 1974 r. – dałaby mu miejsce w kryminalno-literackich annałach.

ZA TYDZIEŃ

John Rambo, który ustawia świat do pionu

„Rambo – Pierwsza krew” wszedł na amerykańskie ekrany 22 października 1982 r. W Polsce zdelegalizowano właśnie „Solidarność”.



FOT. MATPRAS

„Operacja Keelhaul”, czyli ze Stalinem żyjemy w zgodzie

Andrzej Dworak
redakcja@polskatimes.pl

W maju 1945 r. Brytyjczycy internowali w Austrii Kozaków dońskich, a następnie wydali ich Stalinowi. Była to konsekwencja ustaleń z konferencji jałtańskiej.

Keelhaul to stary zwyczaj karnia angielskich marynarzy – przeciąganie pod kilem, czyli w zasadzie pewna śmierć karnego. W czasie konferencji w Jałcie na Krymie w lutym 1945 roku Roosevelt i Churchill zgodzili się na żądanie Stalina, żeby przekazywać władzom sowieckim wszystkich jego obywateli. W myśl zapisu: „Wydac Związkowi Radzieckiemu wszystkie osoby, także wbrew ich woli, a gdy trzeba, to siłą, które 1 września 1939 r. były obywatelami Związku Radzieckiego lub 22 czerwca 1941 r. były żołnierzami Armii Czerwonej i trafiły do niewoli w mundurach niemieckich lub jako dobrowolni sprzymierzeńcy Niemców”. Dowodzenie nad operacją objął generał Charles Keightley, a wykonanie spoczęło na szkockich i irlandzkich pułkach.

Święta wojna z bolszewikami

Kozacy, a wśród nich najliczniejsi Kozacy dońscy, byli uważani za najwierniejszą caratowi formację wojskową. Jednak niespodziewanie podczas rewolucji lutowej w 1917 r. wielu z nich przeszło na stronę rewolucjonistów, przyczyniając się do obalenia caratu. Pozostali poszli do oddziałów Białych, a nawet niemal 2 tysiące walczyło w ramach polskiej 6. Armii. Nienawidzili bolszewików za to, że odbierali im tradycje, atamanów, starszyznę i prawosławie. Ukrywali się, żeby uniknąć powołania do Armii Czerwonej. Tak było aż do pojawienia się oddziałów niemieckich.

Kozacy całymi grupami zgłaszali się do armii niemieckiej. Bardzo wielu z nich robiło to zaraz po dostaniu się do niewoli. Odkopywali poukrywaną broń i ubierali stare mundury. Pojawili



Helmuth von Pannwitz (drugi z prawej), dowódca m.in. XV kozackiego korpusu kawalerii i honorowy „komendant wszystkich formacji kozackich”

się duchowni, którzy przywdziali swoje szaty i odprawiali w cerkwiach modły. Do prowizorycznych obozów ściągali Kozacy pojedynczo oraz całymi oddziałami. Nie tylko Kozacy: Czereki, Karaczaje, Bałkarzy, Osetyńcy, Dagestańcy, Karabdyńcy, Ingusi, Czeczeńcy, Azerowie i Gruzini masowo chwyłali za broń w oczekiwaniu manifestu wzywającego ich do podjęcia świętej wojny z bolszewikami.

Walczcie w Jugosławii!

Jesienią 1942 r. udało się majorowi Clausowi von Stauffenbergowi, sprawującemu funkcję szefa oddziału II Sztabu Generalnego (znanemu później z nieudanego zamachu na Hitlera), uzyskać zgodę na zorganizowanie na froncie wschodnim takiej jednostki.

Jej dowódcą został płk Helmuth von Pannwitz, arystokrata i kawalerzysta znający język rosyjski. Założył w Chersoniu obóz dla Kozaków i ich rodzin. Pół roku później było tam kilkanaście tysięcy ochotników kozackich, powstała szkoła podoficerska i korpus kadetów, którymi zajmował się kierownik rekrutacji przy sztabie niemieckim ata-

man gen. Andriej Szkuro. Wiosną 1943 roku oddziały kozackie – trzy pułki kawalerii oraz dywizjon doński – skierowano do Mławy. Sformowano z nich dwie brygady, dońską i II kaukaską, które liczyły 14 tysięcy Kozaków i 4 tys. Niemców. Oddziały miały dowódców niemieckich – poza jednym, donozonym przez płk. Iwana Kononowa.

Tak powstała 1. Kozacka Dywizja Kawalerii, którą we wrześniu zamierzano przenieść do Jugosławii, żeby tam walczyła z komunistyczną partyzantką Josipa Broz Tity. Wywołało to niezadowolenie Kozaków, którzy chcieli walczyć z Sowietami na własnej ziemi. W tej sytuacji płk Pannwitz sprowadził z Berlina generała jeszcze z carskiej armii, Piotra N. Krasnowa, który wygłosił przemówienie nawołujące do walki z bolszewizmem gdziekolwiek trzeba. Jego mowa przekonała żołnierzy dywizji do wyjazdu do Jugosławii.

Włoski „Kraj Kozaków”

1. Kozacka Dywizja Kawalerii przyjechała tam transportami kolejowymi przez Warszawę i Czechy. Rozładowała się w rejonie Osijek-Ruma i natychmiast

skierowano ją do zadań ochronnych i antypartyzanckich. Działania Kozaków w krótkim czasie doprowadziły do wyparcia partyzantów z zajmowanych terenów. Zdecydowała o tym umiejętność walki w trudnym terenie, z czym nie radziły sobie oddziały niemieckie. Ponieważ prawosławni Kozacy nie chcieli dłużej walczyć z prawosławnymi Serbami, skierowano ich do katolickiej Chorwacji, muzułmańskiej Bośni i nieprawosławnych rejonów Serbii.

Docelowo Kozacy mieli być skoncentrowani we Włoszech w okolicach Tolmezzo, które miało się zwać „Krajem Kozaków w Północnych Włoszech”. Potem jednak skierowano ich do Austrii. Brytyjczycy nakazali rozlokowanie ich w okolicach wsi Mauthen Kotschach. Przez kilka dni Brytyjczycy dostarczali Kozakom żywność, zażądali jednak oddania broni. Choć niechętnie, Kozacy się na to zgodzili. Broń osobistą zatrzymali oficerowie.

Z karabinu w usta

15 maja 1945 r. zaprowadzaniem zajął się brytyjski Czerwony Krzyż, który czerpał

ze składów pozostawionych w Lienz przez Wehrmacht. Racje wydawane były według codziennego spisu stanu ludności, gdyż ciągle nadciągali nowi robotnicy. Początkowy stan wynosił: 15 tysięcy mężczyzn, 4 tys. kobiet, 2,5 tys. dzieci, 5 tys. koni i 12 wielbłądów.

Ze strony dowództwa 8. Batalionu Szkockiego i brytyjskiej komendy miasta Lienz mnożyły się objawy życzliwości. Optymizm wśród Kozaków wzrastał. Tylko jeden przykry wypadek zamącił ten pogodny nastrój: samobójstwo popełnił płk Gałuszkin. Palnął do siebie z karabinu, wkładając lufę w usta.

Oddani w ręce Rosjan

Od tego dnia wypadki potoczyły się szybko. Z Salzburga do Lienz przyjechał gen. Szkuro i został aresztowany. Ale zapowiedziano też zrównanie racji żywnościowych z tą wydawaną żołnierzom brytyjskim. Rozdano z brytyjskich zapasów pomarańcze i czekoladę. A potem odebrano broń oficerom.

28 maja na godzinę 13 zwołano wszystkich oficerów do wyjazdu na ważną konferencję do miejscowości Spittal nad Dunajem, łącznie 2750 osób. Wsadzono ich na ciężarówkę i wywieziono. W Spittal samochody wjechały w bramę obozu otoczonego potrojnym rzędem drutów kolczastych. Wszędzie gęsto ustawione były posterunki. Zaczął się wyładunek. Nikt nie rzucał się na Brytyjczyków z gołymi rękami. Przeszli do baraków – tu zrywano z siebie dystynkcje, szarpano paradne mundury włożone na konferencję, deptano po wyrzuconych dokumentach, rwano listy i fotografie.

W ten sposób oddzielono dowódców od żołnierzy. Konferencja nigdy się nie odbyła, oficerów zapędzono brutalnie do 58 ciężarówek, po czym silnie strzeżona kolumna wyjechała dalej. Po drodze dwóch jeńców się otruło, 19 próbowało uciekać, 15 zastrzelono. W Judenburgu i w Grazu wydano ich Rosjanom.

Jak wyrok śmierci

Pozostałym Kozakom, żołnierzom i cywilom, kazano gro-

madzić się w wyznaczonych miejscach i wsiadać na samochody. Zapowiedziano im, że na mocy umowy zawartej między rządem Jego Królewskiej Mości i rządem ZSRR wszyscy Kozacy – zarówno oficerowie, jak i szeregowi, a także ich rodziny – zostaną przekazani władzom sowieckim. Nastąpiła cisza jak po wygłoszeniu wyroku śmierci: „Wszyscy muszą zostać wydani – dobrowolnie lub przy użyciu siły. Żywi lub martwi. Kto chce żyć, niech odchodzi na prawo, a kto woli być rozstrzelany, na lewo”. Niedaleko stanęły brytyjskie czołgi.

Był ranek, nad okolicą wisiła mgła. Kozacy na miejscu największego zgromadzenia koło obozu w Peggetz zostali otoczeni żołnierzami z bronią automatyczną, obnażonymi bagnietami i grubymi pałkami. Na zewnątrz tłumy stali mężczyźni, w środku kobiety, dzieci i duchowni. Nagle, na dany rozkaz, szkoccy żołnierze rzucili się w tłum, rozrywając łańcuch rąk i bijąc wszystkich kolbami i pałkami.

Podzielił los żołnierzy

Na głównym placu w Peggetz pozostało kilkudziesięciu zabitych i rannych. Kilkadziesiąt osób utonęło w rzece Drawie. Łącznie z samobójstwami liczba ofiar nie przekraczała zapewne setki (dokładnej statystyki nie ma). Z terytorium południowej Austrii wydano Sowietom 30-33 tysięcy Kozaków i ich rodziny. Większość pognano do gułagów, wielu straciło życie, Stalin uważał bowiem, że ci, którzy mieli styczność z Zachodem, mogą być zdrajcami lub osobami skażonymi przez kontakt z drugą stroną.

Jesienią 1946 r. przed Kolegium Wojskowym Sądu Najwyższego ZSRR doszło do procesu gen. Piotra Krasnowa, gen. Hellmutha von Pannwita, atamana Domanowa i innych wyższych oficerów kozackich. Wszystkich skazano na hańbiącą karę śmierci przez powieszenie. Von Pannwitz mógł z łatwością uciec, ale postanowił dzielić los swych żołnierzy. Uciec udało się za to Iwanowi Kononowowi, który zamieszkał w Niemczech, a potem w Australii.

PKO BP Ekstraklasa Wśród nominowanych są zaskoczenia. I jest legenda

ONI BYLI NAJLEPSI NA POLSKICH BOISKACH W MINIONEJ RUNDZIE

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

Po osiemnastu (nie w pełni rozegranych) kolejkach PKO Ekstraklasa zapadnie w zimowy sen. Tuż przed przerwą wyłoniliśmy najlepszą jedenastkę rundy jesiennej.

Wyboru dokonaliśmy, gdy w PKO Ekstraklasie odbyło się dokładnie 157 meczów (ze 160 ostatnich rozegranych). To dało dokładnie 157 okazji do zrecenzowania poszczególnych graczy. Najlepszych na dystansie rundy wyłoniliśmy w szerokim gronie redakcyjnym, biorąc pod uwagę statystyki, osobiste wrażenia, ale także wpływ danego kandydata na grę bądź wyniki drużyny czy choćby umiejętność utrzymania formy. Ten ostatni czynnik nie jest bez znaczenia. Nie zabrakło bowiem przykładów, kiedy ktoś błyszczał w kilku meczach, po czym zniknął na długo (albo odwrotnie).

Dwóch przedstawicieli w topowej jedenastce ma liderująca Wisła Płock, która jeszcze w czerwcu biła się w barażach o awans. Nieprzypadkowo doceniliśmy z niej zawodników odpowiedzialnych za bronienie. Drużyna beniaminka straciła zaledwie 12 bramek (najmniej w stawce). Mało tego, nikt nie potrafił wbić jej więcej niż gola w spotkaniu. Spora w tym zasługa nowego bramkarza i nowego stopera.

Tytułu samo wyróżnionych jest z Górnika Zabrze czy Radomiaka, w którym brylowali Polacy, choć przez kadre przewinęło się w sumie aż 20 obcokrajowców. Ponadto w jedenastce znaleźli się piłkarze Cracovii, Lechii Gdańsk, Motoru Lublin czy wreszcie naszych eksportowych drużyn - broniącego tytułu Lecha Poznań i Jagiellonii Białystok. Nie ma nikogo - i to nie jest dla nikogo zaskoczenie - z Legii zajmującej miejsce w strefie spadkowej.

Bramkarz

Rafał Leszczyński (33 lata, Wisła Płock). Jego były zespół (Śląsk Wrocław) spadł do 1 ligi, ale on został w elicie i potwierdził klasę. Wpuścił tylko 12 bramek. W sześciu meczach zachował czyste konto.

Obrońcy

Rafał Janicki (33 lata, stoper, Górnik Zabrze). Nie bez powodu

Jedenastka Jesieni Polska Press w PKO Ekstraklasie



dobija do czterystu występów w Ekstraklasie. I także w tym sezonie, już jako weteran tego szczebla, potwierdza wysokie umiejętności. Bez niego zespół nie miałby pewnie prawa myśleć o strefie medalowej, a to się dzieje po przekroczeniu półmetka.

Marcin Kamiński (33 lata, stoper, Wisła Płock). Po niespełna dekadzie wrócił do Polski z Niemiec. W barwach beniaminka praktycznie co mecz pokazywał jakość. Tak kierował defensywą, że nawet najlepsze ataki rywali nie były w stanie wcisnąć więcej niż jednego gola!

Oskar Wójcik (22 lata, stoper, Cracovia). Takiego wejścia do ekstraklasie nie zaliczył nikt. Ten młody stoper awansował bowiem znikąd, z trzecioliżowych rezerw - dzięki odwadze nowego trenera. Odpłaca się maksymalnym zaangażowaniem i solidną formą. Już został ulubieńcem trybun porównywanym do samego Kamila Glika. Wartość poszybowała w górę z 25 tys. do 1,5 mln euro!

Pomocnicy

Jan Grzesik (31 lat, boczny obrońca/pomocnik, Radomiak)

Po trzydziestce przeżywa najlepszy czas w karierze. Gdzie nie

zostanie wystawiony, tam da jakość. Jest nie tylko konkretny (6 goli, 5 asyst), ale i bardzo efektywny w tym co robi. Do tego stopnia, że jego imię wielu fanów tłumaczy sobie na portugalskie „Joao”, bo jest w nim ewidentny pierwiastek Joga Bonito!

Jesus Imaz (35 lat, ofensywny pomocnik, Jagiellonia). Nie opuścił w tym sezonie żadnego meczu! Był tak samo eksploatowany w lidze (osiem goli, pięć asyst), jak i w Europie. Wszędzie dał radę. Gratulujemy przekroczenia stu goli w lidze, ale również w barwach Jagi.

Patrik Hellebrand (26 lat, środkowy pomocnik, Górnik Zabrze). Nie bez powodu zadebiutował niedawno w reprezentacji Czech. Świetny rozgrywający (4 gole i asysta), a poza boiskiem dobry kompan. Chce go choćby Pogoń Szczecin, ale wydaje się, że jest już poza jej finansowym zasięgiem, tak jak i zresztą pozostałej konkurencji.

Rafał Wolski (33 lata, środkowy pomocnik, Radomiak). Kiedyś miał zadatki na gwiazdę reprezentacji Polski. Niestety, za granicą - z różnych względów - nie zrobił furory. Dziś jako kapitan międzynarodowego składu daje świetne popisy w Ekstraklasie (jeden gol i siedem asyst).

Z nim w formie można marzyć o naprawdę dużych rzeczach...

Luis Palma (25 lat, ofensywny pomocnik, Lech Poznań). Niesamowite wręcz wejście do ligi. Reprezentant Hondurasu od razu postanowił zawalczyć o miano MVP sezonu. Przebywając na wypożyczeniu z Celtiku Glasgow, daje coś ekstra (ma cztery gole i tyle samo asyst). Dla niego warto wyśrubować rekord transferowy, czyli wydać ok. 4 mln euro, bo tyle oczekują Szkoci.

Napastnicy

Karol Czubak (25 lat, Motor Lublin). Może trudno niektórym w to uwierzyć, ale rzeczywiście rozgrywa swoją debiutancką rundę w Ekstraklasie. Po nieudanej przygodzie w Belgii jest bardzo konkretny w działaniach (dziewięć goli, dwie asysty). Ma prawo myśleć o koronie króla strzelców.

Tomasz Bobek (24 lata, Lechia Gdańsk). Obiektywnie ze wszystkich rozegrał najlepszą rundę. Co za statystyki (trzyście goli, cztery asysty)! Nie ma wątpliwości, że jest na dobrej drodze po tytuł najlepszej strzelby, a potem do wymarzonego transferu za gigantyczną kwotę - może do ukochanego Bundesligi?©©

Polska
Poniedziałek, 15.12.2025

ODRABIAMY ZALEGŁOŚCI

Tabela nie uwzględnia zaległych meczów:

1. Wisła Płock	18	30	21-12
2. Górnik Zabrze	18	30	29-24
3. Raków Częstochowa	17	29	26-22
4. Jagiellonia Białystok	16	28	28-20
5. Cracovia	18	27	25-21
6. Radomiak	18	26	35-30
7. Lech Poznań	17	26	29-26
8. Zagłębie Lubin	17	25	30-24
9. Korona Kielce	18	24	21-19
10. Pogoń Szczecin	18	21	28-32
11. Arka Gdynia	18	21	15-32
12. Lechia Gdańsk	18	20	37-37
13. Widzew Łódź	18	20	26-28
14. GKS Katowice	17	20	23-28
15. Motor Lublin	17	20	22-27
16. Legia Warszawa	17	19	19-20
17. Bruk-Bet Nieciecza	18	19	24-35
18. Piast Gliwice	16	17	18-19

Program 19. kolejki

30 stycznia 2026: Zagłębie - Katowice, Lechia - Arka, Widzew - Jagiellonia Górnik - Piast; **1 lutego:** Motor - Pogoń, Wisła - Raków, Legia - Korona; **2 lutego:** Nieciecza - Cracovia

NAJLEPSI STRZELCY

13 goli

Tomasz Bobek (Lechia Gdańsk)

10 goli

Mikael Ishak (Lech Poznań)

9 goli

Karol Czubak (Motor Lublin), Sebastian Bergier (Widzew Łódź), Jonatan Brunos (Raków Częstochowa)

8 goli

Jesus Imaz (Jagiellonia Białystok), Leonardo Rocha (Radomiak Radom)

7 goli

Ousmane Sow (Górnik Zabrze), Filip Stojilković (Cracovia), Łukasz Sekulski (Wisła Płock).

6 goli

Dawid Błanik (Korona Kielce), Kamil Grosicki (Pogoń Szczecin), Jan Grzesik (Radomiak Radom), Sondre Lisseth (Górnik Zabrze), Maurides (Radomiak Radom), Afimico Pululu (Jagiellonia Białystok).

Adam Godlewski

„Krótka piłka”



ZE WSKAZANIEM NA... PAPSZUNA

Jedenastka rundy bez zawodników Legii i Rakowa? Nie, to nie pomyłka. O ile przed rundą - biorąc pod uwagę wysokości budżetów, aktywność na rynku transferowym i dokonania z poprzedniego sezonu - klasyfikacja nie do wymyślenia, o tyle teraz wybór był... logiczny. I na pewno się obroni! Choć oczywiście powody nieobecności wśród wyróżnionych piłkarzy zespołów ze stolicy i spod Jasnej Góry są zupełnie różne.

Legioniści zawiedli na wszystkich frontach, zespół tworzyli - tylko teoretycznie. Kto z rywali miał choćby ułamek pomysłu na to, jak ugryźć tę wysoko przepłacaną i nieskoordynowaną w działaniach grupę piłkarzy, ten zabierał stołeczny klubowi punkty. W efekcie ludzie zatrudniani przez Dariusza Mioduskiego potrafili w lidze wygrać zaledwie 4 spotkania. Co przy nakładach przekraczających rocznie 200 milionów PLN stanowi dorobek... kabaretowy.

Raków rywalizację na krajowych boiskach zaczął w tempie ślimaka, ale koniec końców - mimo olbrzymiego zamieszania wokół Marka Papszuna - udowodnił, że nadal na polskim rynku zalicza się do gigantów. Tyle tylko, że w przekroju całej rundy nie zdążył odcisnąć piętna na rozgrywkach w żadnej specjalizacji - stracił ponad 20 goli i nie zdołał dobić (przed naszą elekcją) do 30 strzelonych bramek. A poza wszystkim - najbardziej

charyzmatycznym w częstochowskim klubie człowiekiem pozostał szkoleniowiec. Papszun, nawet na odchodnym (do Legii), był niczym Jose „The Special One” Mourinho w szczytowych latach. Ogniskował na sobie uwagę, gdy Raków przegrywał, i wysuwał się na plan pierwszy, kiedy drużyna odzyskiwała wigor i jakość. Imocniej niż w poprzednich sezonach, podopiecznych pozostawił w cieniu...

Głównym walorem każdej wybranej jedenastki, podobnie jak wszystkich innych rankingów, które są skazane na subiektywny osąd elektorów, są... emocje, które wzbudzi. Pomijając oczywisty fakt, że jeszcze się taki nie urodził, który by wszystkim kibicom polskich klubów dogodził (i nigdy się nie urodził), z reguły dajemy fory piłkarzom zespołów, z którymi sympatyzujemy. Ichętniej - gremialnie - doceniamy zawodników wyróżniających się w ofensywie. Często patrzymy też na potencjał, podświadomie premiując młody wiek i nie do końca zweryfikowaną skalę talentu.

My wybraliśmy jedenastkę na „tu i teraz”. Ze świadomością, że najbardziej perspektywicznym zawodnikiem w Polsce jest Oskar Pietuszewski, wyceniany przez transfermarkt.de na 12 milionów euro. Natomiast liczby, które wykreślił Jagiellonia jesienią - goli, asyst i minut, jeszcze po prostu nie okazały się przepustką do jedenastki najlepszych...

Kruszankin: Legii potrzebna jest rewolucja

Rozmawiał Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

Juliusz Kruszanekin, który z Legią Warszawa zdobył 7 trofeów i grał w europejskich pucharach, nie jest zaskoczony postawą polskich zespołów w Lidze Konferencji.

Legia po porażce z Noah w Armenii straciła szansę na awans do fazy pucharowej, w której może wystąpić trzech przedstawicieli ekstraklasy.

Porażka Legii z ormiańskim Noah to niespodzianka?

W tym przypadku trudno mówić o niespodziance, bo Legia gra słabo i patrząc na tabelę ekstraklasy, broni się przed spadkiem. To nie zrodziło się z przypadku, ten proces postępował od jakiegoś czasu. Legia zawodzi we wszystkich rozgrywkach, a przyczyn tego może być do prawdy wiele. Patrzę na to z perspektywy kibica, a kibic nie musi wiedzieć, co się dzieje w środku. Może to i lepiej.

Brakuje jej jakości?

Wydaje mi się, że nie w tym problem. Zawodnicy Legii są

powoływani do reprezentacji Polski, innych reprezentacji. Indywidualnie nie wygląda to źle.

Nie przekonujesz na siłę o tej jakości? Kiedyś Legia miała lepszych zawodników.

W obronie Legia wygląda przyzwoicie, gorzej z ofensywą. Stwarza mało okazji, ma problemy ze zdobywaniem goli, tabele ekstraklasy i Ligi Konferencji niestety nie kłamia. Wiele kibiców uważa, że tej drużynie brakuje charakteru. Zagraniczni zawodnicy nie chcą się szczególnie poświęcać dla klubu, który traktują tylko jako miejsce pracy. Liderów w Legii też nie widać, a to na pewno daje do myślenia. Nastął czas na rewolucję, a wiąże się to z osobą Marka Papszuna. Pamiętam jak w 1992 roku Legii groził spadek, w ostatniej kolejce wygrała z Motorem w Lublinie 3:0, a u rywala nie zagrał Leszek Pisz, który miał wrócić po wypożyczeniu do stolicy, jako jeden z symboli ówczesnych przemian. W klubie pojawił się Janusz Romanowski z kasą, ale początkowe inwestycje nie przynosiły efektów. Dopiero postawienie na Janusza



Mileta Rajović to symbol zmian, które latem zaszyły przy Łazienkowskiej. Niedanych...

Wójcika wstrząsnęło Legią. Papszun może wiele zmienić na lepsze, ale nie ma gwarancji na sukces. Potrzebuje też wsparcia, bo specyfika pracy w Legii jest inna niż w Rakowie. Z klubem z Częstochowy osiągnął superwyniki. Teraz zostawi go na dobrej pozycji w Lidze Konferencji, choć w kraju

nie od początku sezonu był tak, jakby życzyli sobie fani.

Trzy nasze drużyny awansują z fazy ligowej Ligi Konferencji?

Tak może się stać, choć nasze zespoły są bardzo chimeryczne. Lech przegrał na Gibraltarze z Lincolnem, a w Poznaniu był bliski zwycięstwa z Ma-

inz z Bundesligi. Potencjał w zespole z Wielkopolski jest duży, lecz nie zawsze znajduje przełożenie na boisku. Chyba też przydałoby się więcej Polaków w składzie, tak jak w Jagiellonii.

Zespół z Białegostoku ma prawo odczuwać zmęczenia intensywnym rokiem 2025?

Zgadzam się ze Zbigniewem Bońkiem i Tomkiem Hajtą, których śmiesz tak tłumaczyć. Piłkarz musi być gotowy do gry co trzy dni i odczuwać z tego przyjemność, a nie narzekać. Rotacje źle wpływają na Jagę, która ma słabszą końcówkę roku. Wydaje mi się, że za dużo oczekujemy od polskich klubów w pucharach, nasze miejsce jest obecnie w Lidze Konferencji i wcale w tych rozgrywkach nie rządzą. Nie możemy się załapać do Ligi Europy, nie mówiąc o Lidze Mistrzów, stan posiadania w pucharach pokazuje obecny potencjał ekstraklasy, która się rozwija sportowo, lecz nie tak szybko jak się czasami wydaje. Kluby muszą zarabiać i sprzedają zawodników, normalne, ale mało jest spektakularnych transferów. Drużyny buduje się na zbyt krótką metę, odchodzą wartościowi piłkarze, których szybko nie da się ich zastąpić. Mam jednak nadzieję, że jakości będzie przybywać i zobaczymy więcej młodych Polaków w czołowych rolach w lidze, to całej naszej piłce wyjdzie na dobre.

© ©

FOT. SYLVIA DABROWA

Robert Kubica: Cóż, chyba nie potrafię być w pełni usatysfakcjonowany...

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

O zakończonym niedawno sezonie i planach na najbliższą przyszłość rozmawiamy z Robertem Kubicą, byłym kierowcą Formuły 1.

Z dokonania w 2025 roku jesteś w pełni usatysfakcjonowany? Do historii przejdzie przede wszystkim spektakularne zwycięstwo w 24-godzinny wyścigu Le Mans.

Wygrając Le Mans24, osiągnęliśmy szczyt, jeśli chodzi o wyścigi długodystansowe. Nie ma ważniejszego wyścigu niż właśnie ten. Zwłaszcza że zrobiliśmy to w aucie nie fabrycznym, jako tak zwani klienci. Realistycznie patrząc, były naprawdę małe szanse, żeby tego dokonać.

Wygraną w Le Mans porównujesz do zwycięstwa w igrzyskach olimpijskich...

... bo ma wyjątkową wartość! To najważniejsze zawody na świecie w wyścigach długodystansowych i tej wygranej nie zamieniłbym na zwycięstwo w klasyfikacji generalnej, choć oczywiście, bardzo chciałbym też tego dokonać. Zapamiętam miniony sezon jako trudny, ale jeśli cho-

dzi o wyniki, to był bardzo pozytywny.

Razem z Philem Hansonem i Yifeiem Ye sezon 2025 Długodystansowych Mistrzostw Świata FIA WEC zakończyłeś na drugim miejscu w klasyfikacji generalnej Hypercar, co też jest bardzo dużym osiągnięciem.

Pozostaje pewien niedosyt, ale tylko na papierze. Oceniając nasze szanse przed sezonem na chłodno, udało się nam wyciągnąć z niego maksimum. Były wyścigi w których mogliśmy dokonać więcej, ale musimy być jednocześnie dumni z tego, co zrobiliśmy. Może nie do końca czuję się spełniony, jeśli chodzi o ten rok, ale kto mnie zna, ten wie, że chyba nigdy nie potrafię być w pełni usatysfakcjonowany.

Co dalej, jeśli chodzi o długodystansowe mistrzostwa świata? Twój kontrakt z zespołem AFC kończy się w tym roku.

Jesteśmy w fazie rozmów i podejmowania decyzji. Tak naprawdę, dużo zależy ode mnie. Finalnej decyzji jeszcze nie ma, w głowie rodzą się pewne pomysły i mamy jeszcze trochę czasu. Chcę podjąć



Robert Kubica może zaliczyć sezon 2025 do bardzo udanych. Wygrał m.in. 24-godzinny wyścig w Le Mans

taką, co do której będę w stu procentach przekonany, że będzie właściwa.

Jakiś czas temu powiedziałeś, że na tym etapie kariery, ważniejsze niż jak najszybsze pokonanie przysłowiowego okrażenia jest szczęście w życiu prywatnym. Zachodzą w nim poważne zmiany?

Moim naturalnym celem, gdy zaczynałem starty w długo-

dystansowych mistrzostwach świata w 2021 roku było zwycięstwo w Le Mans24 i to się udało osiągnąć. Uprawianie tej dyscypliny jest dla mnie czystą pasją. Oczywiście, to moja praca, ale chciałbym wracać z zawodów do domu usatysfakcjonowany i szczęśliwy oraz świadomy, że zrobiłem maksimum. W tym i ubiegłym roku osiągnęliśmy bardzo dobre wyniki, ale za-

wsze było coś pozasportowego, co sprawiało, że gdy wracałem w domowe pielesze, nie byłem w pełni wyluzowany i usatysfakcjonowany. I to mi dało trochę do myślenia. Zobaczymy, co głowa mi podpowie i z pewnością bardzo dokładnie wszystko przeanalizuję.

W ostatnim czasie sporo mówi się o tym, że Polska chce zorganizować igrzyska olimpijskie w 2040 lub 2044 roku. Zwiedziłeś niemal cały świat, jesteś w stanie podjąć się takiego wyzwania?

Z punktu widzenia sportowca i Polaka chyba nie ma lepszej wiadomości. Gdyby naprawdę to się wydarzyło, byłoby dla naszego kraju niesamowitym sukcesem na dalszy rozwój, szansą dla wielu młodych ludzi, ogromnym zaszczytem. Dla wszystkich, kibiców, sportowców, zwykłych mieszkańców. W ostatnim czasie w Polsce bardzo dużo się zmieniło i widzę to niemal na każdym kroku, gdy przyjeżdżam do kraju.

Jako naród, który lubi narzekać, nie doceniamy tych wszystkich zmian?

Niestety, lubimy być malkontentami. Dawniej, gdy wyjeź-

daliśmy chociażby do Czech czy Austrii, to był efekt wow, że tam jest inny świat. A teraz? Jest na odwrót. Mam wielu znajomych w Niemczech, Anglii czy we Włoszech, którzy, gdy przyjeżdżają do Polski, to mają właśnie taki efekt wow. Zauważają, że bardzo dużo się u nas zmieniło. Organizacja igrzysk dodałaby Polsce jeszcze więcej prestiżu, ale przede wszystkim młodszemu adeptom sportu niesamowitego kopa do rozwoju. Dałaby nadzieję i możliwości.

W bogatej karierze nie miałeś właściwie okazji, żeby zaprezentować umiejętności przed polską publicznością...

... i bardzo tego żałuję. Jako młody kierowca musiałem rozwijać się za granicą, a okazji do występów w Polsce miałem bardzo mało. Mówię o tym, bo chyba dla każdego sportowca na tym najwyższym poziomie nie ma większej przyjemności niż reprezentowanie swojego kraju przed własną publicznością. Zazdroszczę tego wielu kolegom i koleżankom i gdyby w Polsce odbyły się igrzyska olimpijskie, dla wielu z nich byłoby to spełnieniem marzeń. © ©

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Łyżwiarstwo szybkie Dobry prognostyk przed igrzyskami we Włoszech

POLSKIE PODIUM W HAMAR

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

Damian Żurek wywalczył srebro i brąz, a Kaja Ziomek-Nogal srebro w zawodach Pucharu Świata w norweskim Hamar.

Polscy panczeniści świetnie spisali się w Pucharze Świata w Hamar. W rywalizacji na 500 metrów Kaja Ziomek-Nogal wywalczyła srebrny medal, a Damian Żurek - brązowy. Na 1000 metrów Żurek potwierdził kapitalną dyspozycję i dołożył srebrny krążek.

Ziomek-Nogal, którą jechała w pierwszej parze, spisała się znakomicie i była na prowadzeniu aż do startu ostatniego duetu, w którym jechała fenomenalna Holenderka Femke Kok. Rywalka pobiła rekord toru i wyprzedziła Polkę.

- Na szczęście nie było to perfekcyjny przejazd, a dał medal, choć było dużo, dużo lepiej niż w moich wszystkich poprzednich biegach. Na początku sezonu zmieniałam płozy na trochę dłuższe, trochę właśnie przez to ten start podczas Mistrzostw Polski był nieudany, bo upadłam na trzecim kroku. Te dłuższe płozy dawały mi takie złudne poczucie, że one będą lepsze i że będą się bardziej nadawały na szybkie tory za oceanem. Tam się nie do końca odnalazłam, było kilka biegów z błędami. Wróci-



Podium 500 m Pucharu Świata w Hamar: Jennings de Boo, Jordan Stolz i Damian Żurek

łam do starych płóz i tutaj czuję, że w końcu zrobiłam to, co potrzebowałam zrobić. No i utrzymałam koncentrację przez cały bieg. To bardzo dobry występ, ale to jeszcze nie było maksimum moich możliwości - powiedziała Ziomek-Nogal.

Najwyżej sklasyfikowany polski panczenista w tegorocznym Pucharze Świata, Damian Żurek, który w „generalce” na 500 metrów zajmuje trzecie miejsce, w Hamar wywalczył brązowy medal. - Otworzyliśmy bardzo fajnie ten Puchar

Świata, widziałem na żywo bieg Kai i jestem bardzo zadowolony, że w końcu jej się udało i zdobyła medal. Ja się cieszę, że po mojej kontuzji wracam do zdrowia i odbudowuję powolutku tę formę, bo przed startem w Calgary naderwałem sobie przywodziel. W Holandii musiałem bardzo oszczędzać nogę i uważać, żeby nie popełnić głupich błędów, bo, jak wiadomo, najważniejszy bieg mamy dopiero po nowym roku i na tym trzeba się skupić - stwierdził Żurek.

Na obu dystansach Żurek ustąpił Amerykaninowi Jordanowi Stolzowi, który wygrał zarówno 500, jak i 1000 m, a także jeszcze Holendrowi Jenningsowi de Boo na 500 m.

Niestety, w wyścigu na 5000 m nasz naturalizowany Rosjanin Władimir Semirunnij zajął czwarte miejsce i utracił tym samym kwalifikację olimpijską. W igrzyskach w Mediolanie-Cortinie 2026 wystartuje na 10 000 i 15000 m. A na 5000 metrów będzie pierwszym rezerwowym. ©©

Debiut Grzegorza Galicy, powrót Moniki Hojnisz

Łukasz Konstanty
redakcja@polskapress.pl

Wydarzeniem ostatnich dni był niezły debiut w zawodach biathlonowego Pucharu Świata osiemnastoletniego Grzegorza Galicy.

Pierwszy start młodego Polaka był nadzwyczaj udany - w sprincie w Hochfilzen debiutant uplasował się na 24. pozycji, był bezbłędny na strzelnicy, zdobył pucharowe punkty i okazał się najlepszym naszym biathlonistą w tej konkurencji. Znacznie gorzej poszło mu dzień później w biegu pościgowym - w sobotę młokos zaliczył kilka karnych rund, zanotował też upadek na trasie, przez który stracił kilkadziesiąt sekund, w efekcie finiszował na 57. miejscu.

Utalentowany osiemnastolatek jest naszą wielką nadzieją na poprawę wyników pucharowych wśród mężczyzn. Jeśli ustabilizuje strzelanie na dobrym, wysokim poziomie, po wniwien w przyszłości regularnie kończyć rywalizację na wysokich lokatach.

Z mieszanymi uczuciami austriackie zmagania zakończył Konrad Badacz. Najpierw w sprincie uzyskał najlepszy wynik w karierze (24. lokata), potem nieco słabiej wypadł w biegu pościgowym, ale zajął miejsce dające punkty (38.), na koniec zaś kompletnie zawałił bieg sztafetowy, w którym wystąpił na pierwszej zmianie - zanotował sporo niecelnych strzałów w postawie leżącej, musiał biegać karną rundę, a poniesione straty (zakończył swój start minutę i 40 sekund później od lidera) spowodowały, że już do końca rywalizacji Biało-Czerwoni pałętali się w ognie stawki (ostatecznie nasza drużyna była 15.).

- To jest chyba najgorsze uczucie biathlonisty, kiedy się strzela i wydaje się, że wszystko jest dobrze, a nie wpada. Patrzyłem na chorągiewki, robiłem lekką korektę do tego niewielkiego wiatru i nie mam pojęcia, dlaczego tak to wyglądało - powiedział przed kamerami TVP Sport o swoich pomyłkach Badacz tuż po niedzielnych biegach.

Podobny przebieg miała weekendowa rywalizacja pań. O ile przyzwoicie Polki poradziły sobie w sprincie (20. miejsce Natalii Sidorowicz, 35. Anny Mąki, która w ostatniej chwili zastąpiła chorą Joannę Jakieł), to o sobotnich zmaganiach sztafetowych niewiele można powiedzieć dobrego - 12. lokata i tak jest znakomitą, biorąc pod uwagę fakt, że w pewnym momencie za naszymi plecami były już tylko dwie rywalki.

W Hochfilzen po niemal czteroletniej przerwie w zawodach Pucharu Świata wystąpiła Monika Hojnisz-Staręga. Doświadczona biathlonistka zakończyła zmagania z uczuciem niedosytu - w sprincie uplasowała się na 61. pozycji, a więc pierwszej niedającej awansu do biegu pościgowego, z kolei w sztafecie była skuteczna na strzelnicy i poprawiła naszą pozycję. Nim jednak pojawiła się na trasie, jej koleżanki poniosły potężne straty.

Podczas gdy biathloniści rywalizowali w Austrii, w Cortinie d'Ampezzo snowboardową trasę testowali Oskar Kwiatkowski i Aleksandra Król-Wallas. Nasi zawodnicy rywalizujący w konkurencjach alpejskich zajęli ósme lokaty, a niewykorzystanej szansy może żałować zwłaszcza Oskar, który ćwierćfinałowy pojedynek (rywalizowano w slalomie gigantycznym) z Włochem Edwinem Corratim przegrał o zaledwie 0,06 sekundy. ©©



W Hochfilzen debiut w zawodach PŚ w biathlonie zanotował zaledwie osiemnastoletni Grzegorz Galica

Udany debiut w UFC Cezarego Oleksiejczuka

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

Udanie zadebiutował w najbardziej prestiżowej organizacji MMA - amerykańskiej UFC - młodszy z braci Oleksiejczuków - Cezary, który w walce na pełnym dystansie pokonał Cesara Almeidę.

W trzeciej najważniejszej walce karty głównej sobotniej gali UFC Fight Night w Las Vegas, ostatniej w tym roku, w oktagonie amerykańskiego giganta zadebiutował 25-letni Cezary Oleksiejczuk - brat doświadczonego 30-letniego „Husarza” Michała, który teraz sekundował młodszemu Oleksiejczukowi w narożniku oktagonu. Łęcznianin zmierzył się z brazylijskim kickbokserem Cesarem Almeidą.

Zapaśniczo usposobiony Polak sfinalizował na dystansie



25-letni Cezary Oleksiejczuk udanie zadebiutował w najważniejszej organizacji MMA - amerykańskiej UFC

piętnastu minut sześć z siedmiu prób zapaśniczych, przez ponad jedenaście minut kontrolując Brazylijczyka z góry. W efekcie wygrał na kartach punktowych 3 x 30-27.

Zwycięstwo Cezary Oleksiejczuk przypłacił kontuzjami

kolana. Po zakończeniu pojedynku długo pozostał na deskach, oparty o siatkę, sygnalizując uraz. Ostatecznie wstał do ogłoszenia werdyktu.

„Słabo to wygląda, nie wiadomo, czy obie nogi nie uszkodzone” - napisał „Husarz”.

- Nie czuję się dobrze, ponieważ moje kolana są uszkodzone, ale jestem szczęśliwy, że wygrałem w moim debiucie. Mój brat (Michał) sekundował mi w narożniku i wiedziałem, jak mam stoczyć tę walkę. Liczę, że moje kolana szybko się zregenerują i będę mógł walczyć w Londynie, który bardziej preferuję, bo pochodzę z Europy - powiedział po walce Cezary Oleksiejczuk.

Obchodzący w styczniu 26. urodziny Cezary Oleksiejczuk zamknął 2025 rok - bardzo pracowity i zapewne najlepszy w karierze - z bilansem 3-0 i przedłużył swoją passę 6 zwycięstw z rzędu.

W sobotniej gali Rocky Boxing Night w Sopocie w walce wieczoru Nikodem Jeżewski przegrał z Marko Caliciem i tym samym Chorwat zdobył pas WBC International w kategorii brydger. ©©

Skoki narciarskie Kacper Tomasiak najlepszy z Polaków. Słoweniec Domen Prevc odjeżdża rywalom

To nie był błąd, tylko wielbłąd. Szkoda

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Domen Prevc z trzecim zwycięstwem z rzędu! Reprezentant Słowenii wygrał sobotni konkurs indywidualny Pucharu Świata na „Vogtland Arena” w Klingenthal z ponad 25-punktową przewagą!

Najwyżej sklasyfikowany z Polaków - Kacper Tomasiak, zajął 18. miejsce. 18-latek urodzony w Bielsku-Białej, plasował się nawet po pierwszej serii na 5. miejscu, fruwiąc na odległość 134 metrów.

Kacper miał szansę poprawić swój życiowy wynik, kiedy tydzień wcześniej, w Wiśle, był właśnie piąty. W drugim skoku zabrakło jednak odległości i „tylko” 126,5 m.

- Troszkę miałem tutaj problemy, żeby dobrze się odbić - przyznał po sobotnim konkursie. - W sobotę sama technika odbicia była w każdym skoku dobra, ale w serii próbnej i w drugiej serii odbicie wykonywałem dużo



Kacper Tomasiak ponownie został sklasyfikowany najwyżej z Polaków. Wydawało się nawet, że ma szansę na podium...

za wcześniej. Niby mały błąd, ale sporo na nim traciłem.

Pierwszą serię konkursową rozegrano z 13. belki startowej, a rundę finałową z 15. platformy.

Pozostali Polacy zajęli niestety dalsze lokaty: dopiero 20. był Kamil Stoch, 25. Maciej Kot, a 28. Piotr Żyła. Do drugiej serii nie awansowali Dawid Kubacki

(32. miejsce) i Paweł Wąsek (39.). - Kacper Tomasiak oddał w finale podobny skok, jak w serii próbnej, lecz zaczął odbicie od góry i wykonał ten ruch za wcześniej - komentował trener kadry narodowej A w skokach narciarskich, Maciej Maciusiak. - Próg nie oddał jak należy i skończyło się tak, a nie inaczej.

Był to bardzo udany dzień dla rodziny Prevców. Kilka godzin wcześniej na tej samej skoczni młodsza siostra Domena - Nika, również odniosła zwycięstwo w konkursie Pucharu Świata. Na najwyższym stopniu podium stanęła po raz 25., bijąc rekord... rodziny.

Najbardziej utytułowany i najstarszy z rodzeństwa - Peter, który zakończył już karierę, triumfował 24 razy. Domen w sobotę odniósł 12. pucharowe zwycięstwo.

Powody do radości miał również Stefan Kraft, ponieważ po krótkiej przerwie wrócił do rywalizacji w dobrym stylu i po raz 129. stanął na podium PŚ. Austriak zrezygnował ze startów

w fińskiej Ruce i w Wiśle z powodu narodzin córki.

Najwięcej miejsc na podium w konkursach PŚ

1. Stefan Kraft (Austria) 129 (46-38-45)
2. Janne Ahonen (Finlandia) 108 (36-44-28)
3. Adam Małysz (Polska) 92 (39-27-26)
4. Gregor Schlierenzauer (Austria) 88 (53-20-15)
5. Simon Ammann (Szwajcaria) 80 (23-31-26)
5. Kamil Stoch (Polska) 80 (39-22-19)
7. Matti Nykänen (Finlandia) 76 (46-22-8)
7. Thomas Morgenstern (Austria) 76 (23-30-23)
9. Ryoyu Kobayashi (Japonia) 74 (36-23-15)
10. Jens Weissflog (NRD/Niemcy) 73 (33-19-21)

Dzięki zwycięstwu na „Vogtland Arena” Domen Prevc umocnił się na prowadzeniu w Pucharze Świata.

Wyniki PŚ w Klingenthal, sobota: 1. Domen Prevc (Słowenia) 298,5 pkt (142,5 m/143,0 m), 2. Stefan Kraft (Austria) 273,0 (132,5/133,5), 3. Philipp Raimund (Niemcy) 271,9 (134,0/131,0), 4. Ren Nikaïdo (Japonia) 266,7 (129,5/133,0), 5. Ryoyu Kobayashi (Japonia) 265,7 (127,5/134,0), 6. Jan Hoerl (Austria) 264,3 (133,5/129,0), 7. Halvor Egner Granerud (Norwegia) 263,5 (130,5/133,0), 8. Kristoffer Eriksen Sundal (Norwegia) 261,5 (132,5/131,0), 9. Timi Zajc (Słowenia) 260,9 (126,0/131,0), 10. Johann Andre Forfang (Norwegia) 257,9 (130,0/131,5)... 18. Kacper Tomasiak (Polska) 246,8 (134,0/126,5)... 20. Kamil Stoch (Polska) 245,1 (129,5/127,5)... 25. Maciej Kot (Polska) 240,5 (129,0/125,0)... 28. Piotr Żyła (Polska) 236,8 (130,5/122,0)... 32. Dawid Kubacki (Polska) 117,4 (127,0)... 39. Paweł Wąsek (Polska) 112,5 (123,5).

Klasyfikacja PŚ: 1. Prevc 570 pkt, 2. Anze Lanisek (Słowenia) 453, 3. Kobayashi 451, 4. Raimund 374, 5. Daniel Tschofenig (Austria) 328, 6. Kraft 314, 7. Nikaïdo 293, 8. Hoerl 267, 9. Felix Hoffmann (Niemcy) 243, 10. Stephan Embacher (Austria) 233... 14. Tomasiak 137... 21. Stoch 88... 23. Żyła 71... 33. Kubacki 28... 36. Kot 24... 41. Wąsek 13.

Puchar Narodów: 1. Austria 1521 pkt, 2. Słowenia 1341, 3. Japonia 1146, 4. Niemcy 902, 5. Norwegia 495, 6. Polska 436, 7. Bułgaria 195, 8. Finlandia 160, 9. Francja 152, 10. Szwajcaria 98, 11. USA 79, 12. Estonia 56, 13. Włochy 26, 14. Kanada 25, 15. Kazachstan 18, 16. Czechy i Ukraina - po 2.

© FOT

MATERIAL INFORMACYJNY HONEST MEDIA

0011445104

Za nami mistrzostwa Europy w pływaniu w Lublinie.

Otylia Jędrzejczak: Z niemożliwego zrobiliśmy możliwe

Po raz ostatni tak duża impreza odbyła się w Polsce przed czternastoma laty, gdy o medale mistrzostw Europy na krótkiej pływalni rywalizowali w Szczecinie. Jędrzejczak zdecydowała się na ponowne sprowadzenie dużej międzynarodowej imprezy do Polski.

- Dla Polskiego Związku Pływackiego to było olbrzymie wyzwanie. Rok temu byliśmy już gospodarzem mistrzostw Europy juniorów w skokach do wody, ale teraz - po czterech latach - zorganizowaliśmy imprezę seniorską. To wszystko było możliwe dzięki naszym sponsorom i partnerom, m.in. firmy Orlen oraz marek LOTTO i DrWitt. Jestem dumna z lokalnego komitetu organizacyjnego pod przewodnictwem Marty Zalewskiej. Każdy, kto przyjechał do Lublina, podkreślał naprawdę wspaniałe przygotowanie. Uważam, że organizacyjnie stanęliśmy na najwyższym stopniu podium. Oczywiście, może to być odebrane jako przechwałki, ale przy tej ilości pozytywnych opinii z zewnątrz jestem prze-



Otylia Jędrzejczak, Jakub Rutnicki

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ

konana, że naprawdę zrobiliśmy kawał dobrej roboty - podkreśla prezes Polskiego Związku Pływackiego. Gdy rywalizację w Lublinie zakończyli najlepsi w Europie pływacy, rozpoczęło się święto dla amatorów pływania. W mistrzostwach Europy masters na krótkim basenie w Lublinie, których sponsorem głównym był Orlen, wystartowało prawie 2000 osób.

Co jest najbardziej istotne to to, że najwięcej pochwał pod adresem organizatorów padło ze strony zawodników. - Naprawdę bardzo się ucieszyłam, kiedy Liam

Tancock, czyli mistrz świata w stylu grzbietowym sprzed kilkunastu lat, a obecnie szef Komisji Zawodniczej European Aquatics, powiedział mi, że ma bardzo pozytywny feedback od zawodników. Mamy obiekt, w którym z niemożliwego zrobiliśmy możliwe. Może było trochę ciasnowo, ale przytulnie i rodzinnie. Mieliśmy trybuny wypełnione polskimi kibicami, ale bardzo licznie zjechali się do Lublina również kibice z innych europejskich krajów. W European Aquatics oceniono, że nasze zawody były zorganizowane na wysokim poziomie. War-



Sztafeta 4x50m

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ

tością imprezy był oczywiście szybki basen. Włosi pobili rekord świata w sztafecie, ustanawiano najlepsze czasy w historii europejskiego pływania, padały rekordy świata i Europy juniorów. Niesamowite jest też to, że trafiliśmy na wspaniałych wolontariuszy. W czasie całych mistrzostw było to aż 250 osób. Wspierali zawodników, pomagali im się przemieszczać, dawali serce, uśmiech i radość - dodaje Otylia Jędrzejczak.

Biało-Czerwoni, wspierani przez sponsora głównego polskiego pływania PGE Polską Grupę Energetyczną,

zdobyli w Lublinie osiem medali - dwa złote, dwa srebrne i cztery brązowe. Na najwyższym stopniu podium stanęły Katarzyna Wasick na 50 metrów stylem dowolnym oraz Justina Kozań na 400 metrów zmiennym, drugie miejsca zajęli Krzysztof Chmielewski na 200 metrów motylkowym i sztafeta 4x50 metrów dowolnym mężczyzn, a brązowe krążki trafiły do Michała Chmielewskiego na 200 motylkowym, Kamila Sieradzkiego na 200 dowolnym oraz sztafety 4x50 dowolnym kobiet i sztafety mieszanej 4x50 zmiennym.

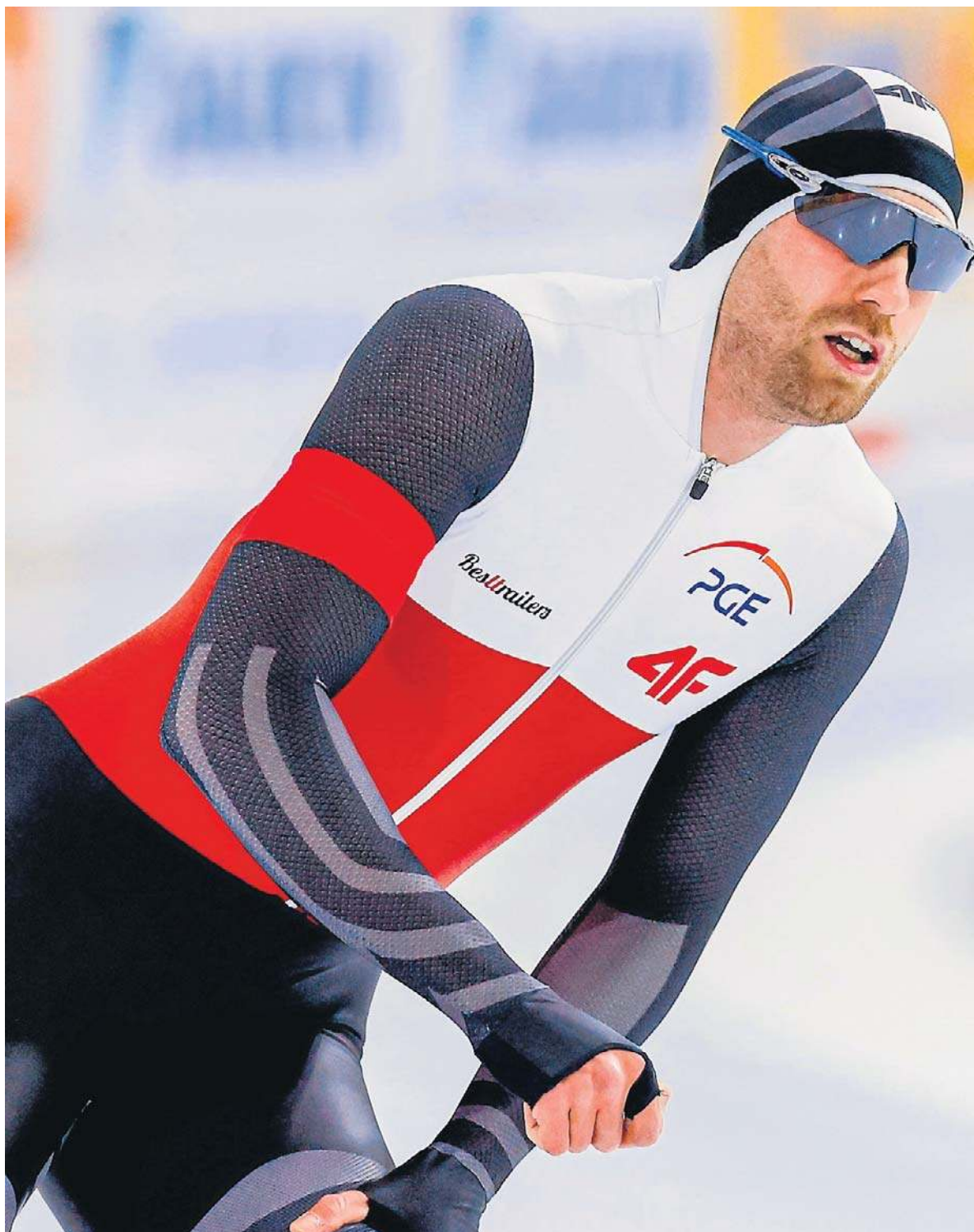
- Muszę przyznać, że liczyłam na pięć medali indywidualnych i rzeczywiście tyle ich zdobyliśmy. Do tego doszły trzy w konkurencjach sztafetowych. Taka liczba miejsc na podium to pozytywne tych zawodów. Nasi zawodnicy bili też w Aqua Lublin rekordy Polski i rekordy życiowe. Kibice na trybunach dali pozytywną energię. To pokazuje, że ta impreza była potrzebna. Mogliśmy pokazać polskie pływanie na najwyższym poziomie, a młodzi adepci tej dyscypliny mieli możliwość zobaczenia najlepszych w Europie - mówi Jędrzejczak.

Jedyna polska mistrzyni olimpijska w pływaniu ma nadzieję, że w niedalekiej przyszłości uda się zorganizować w Polsce kolejną wielką, może nawet jeszcze większą imprezę. - Patrząc z perspektywy strategii rozwoju sportu i przygotowania do organizacji igrzysk olimpijskich, to był dla nas pierwszy i bardzo dobry krok. Może w przyszłości będziemy mogli myśleć o czymś jeszcze większym, żeby przygotować się do igrzysk 2040-2044 - dodaje prezes Polskiego Związku Pływackiego.

MAGAZYN

SPORTOWY24

Do igrzysk olimpijskich we Włoszech pozostało niewiele ponad 50 dni.
Na wielu zimowych arenach wciąż trwają kwalifikacje STR. 22, 23



FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

Znakomita forma naszych łyżwiarzy

WYWIAD TYGODNIA.
ROBERT KUBICA:
– W LE MANS CZUJĘ
MAGIĘ... IGRZYSK
STR. 21

PKO Ekstraklasa.
Nasza jedenastka
rundy jesiennej. Są
zaskoczenia
STR. 20

Po Lidze Konferencji:
Legia potrzebuje
rewolucji, Jagiellonia
i Lech – więcej Polaków
STR. 21